



**W tym roku
Chrystus
zmartwychwstanie
online**



DZIENNIK G

**ZAMKNIĘTE,
BO SZYJEMY
MASECZKI...**

**Szumowski
i globalna
masturbacja**
str. 10

Bezruch burdeli

MACIEJ MIKOŁAJCZYK

Premier Morawiecki zamknął zakłady fryzjerskie, kosmetyczne, salony tatuażu i piercingu. Powód: wykonywanie usług przez te podmioty gospodarcze wymaga bliskiego kontaktu z klientami, co może przyczynić się do transmisji wirusa. W wykazie firm objętych restrykcją nie ma jednak agencji towarzyskich, choć o ile strzyżenie związane jest z bliskim kontaktem, o tyle towarzyszenie w wersji full wymaga wręcz zespolenia i o zachowaniu bezpiecznego dystansu dwóch metrów nie może być mowy.

Z pozoru to dobra wiadomość dla agentek i ich opiekunów, lecz – jak wiadomo – pozory mylą, co zresztą jest tautologią, bo pozór z definicji musi być mylący. Prawdziwy problem polega na tym, że firmy zamknięte z mocy rządowego rozporządzenia mogą korzystać z tarczy antykryzysowej, czyli przepisów zapewniających przedsiębiorcom częściową rekompensatę strat. Agencje towarzyskie o zwolnieniach z danin należnych ZUS-owi i skarbówce mogą jedynie pomarzyć. Nie dostaną też dopłaty do pensji pracownic ani nie skorzystają z jakichkolwiek innych dobrodziejstw.

Pokrewna branża beauty stoi już od pewnego czasu i, jak wynika z szacunków, mimo rządowego wsparcia 90 proc. zakładów fryzjerskich i kosmetycznych padnie. Wniosek jest oczywisty: jeśli Morawiecki nie osłoni panienek, zamtuzy splajtują wszystkie, bo braknie na czynsze i inne opłaty.

1. Agencje bez solidarności

W praktyce brak przybytków na liście instytucji urzędowo zamkniętych oznacza zatem ich upadek. To nie przelewki:

na dno pójdzie 15 tys. agencji towarzyskich, a wraz z nimi 200 tysięcy pań. Więcej niż fryzjerek i kosmetyczek razem wziętych.

Badania wskazują, że ponad 80 procent prostytutki wierz w niepokalane poczęcie i choćby z tego powodu rząd, co i rusz podkreślający swe przywiązanie do ojca Rydzyka, nie może zostawić tak ważnej gałęzi gospodarki narodowej na lodzie.



Uratowanie agentek przed zagładą jest moralnie uzasadnione także dlatego że fryzjerki i przedstawicielki innych zawodów otrzymują wsparcie od klientów. „Gazeta Wyborcza” wszczęła akcję „Solidarni 2020”, polegającą na wpłaceniu forsy na konta zamkniętych salonów w celu ich uratowania. Owszem, nazwa nie jest zbyt fortunna, bo zbyt łatwo ją pomylić z „Solidarni 2010”, czyli nazwą stowarzyszenia pragnącego wsadzić Tuska do więzienia za urządzenie zamachu na śp. prof. Lecha Kaczyńskiego, ale nie zmienia to faktu, że królowe nocy na wielkość klienteli raczej liczyć nie mogą.

2. W zdrowym ciele pań i panów

Sytuację dodatkowo komplikuje niejasna sytuacja prawna. Mimo że agencje towarzyskie nie występują w wykazie firm objętych zakazem prowadzenia działalności, nawet gdyby znalazły się damy gotowe do usług i byłby na nie popyt, funkcjonowanie burdela skończyłoby się interwencją stróżów prawa. Tak przynajmniej twierdzi Andrzej Borowiak, rzecznik komendanta wojewódzkiego policji w Poznaniu.

Dokończenie na str. 3

Mateuszek trafił 24 października 2014 r. na badania do kocię kliniki w związku z problemami przy oddawaniu moczu, z obrzękiem prącia, odwodnieniem i temperaturą 39,2°C. Nazajutrz postanowiono go w trybie natychmiastowym w tej klinice hospitalizować, tym bardziej że pojawiła się żółtaczka oraz coraz silniejszy obrzęk prącia.

„U kota założono cewnik, wykonano USG jamy brzusznej, badanie moczu i krwi, podano leki osłonowe, antybiotyki, leki przeciwzapalne, pobrano płyn z otrzewnej celem wykonania badania na obecność koronawirusa” – napisano w dokumentacji medycznej.

28 października Mateuszek powiększył grono kocich aniołków: „W badaniu płynu pobranego z otrzewnej stwierdzono obecność mutacji wirusa (...). Wynik badania został przekazany klinice z laboratorium już po śmierci kota i odebrany 3 listopada 2014 roku. Przyczyną zgonu kota było zakażenie zapalenie otrzewnej, postać wysiękowa będąca chorobą zakaźną wywołaną przez mutację koronawirusa kociego, niezaraźliwą

Pierwsza ofiara

Koronawirus zaatakował Polskę w drugiej połowie 2014 r. Sprawa skończyła się w sądzie.

(doprawdy? – przyp. WJK), nieuleczalną i śmiertelną”.

...

Rozpacz po Mateuszkach nie była zbyt długa. 18 listopada 2014 r. Leokadia O., właścicielka kociej hodowli, otrzymała na piśmie oświadczenie o odstąpieniu od umowy sprzedaży kota. Dominika C. powoływała się w nim na „ujawnienie się wady kota w postaci zakażenia wirusem, którego mutacja doprowadziła do śmierci zwierzęcia”.

Jednocześnie zażądała od kociary zwrotu 1500 zł, bo tyle wart był żywy Mateuszek oraz „naprawienia szkody poniesionej w związku z leczeniem kota w kwocie 728 zł”. W tej kwocie

była też cena za pochówek Mateuszka w postaci „utylicacji 3 szt.,” gdyż jak stwierdził Sąd Rejonowy w Krakowie, a potwierdził w apelacji krakowski sąd okręgowy w sentencji z 10 stycznia 2019 r., „cena wyliczona została w oparciu o masę zwierzęcia”. Mateuszek miał bowiem ważyć tyle samo, co jego trzej kuzyni w tym samym wieku razem wzięci.

...

W kilkuletniej sądowej batalii z kocim koronawirusem w tle sądy musiały rozstrzygać skomplikowaną etycznie kwestię, czy Mateuszek był li tylko dobrym konsumpcyjnym, towarem na czterech łapach i podlega wymianie z powodu ujawnionej wady w po-

staci choroby, czy może jednak czymś więcej: „W sytuacji gdy niezgodność polega na obecności wirusa wywołującego nieuleczalną chorobę i gdy z powodu choroby zwierzę zmarło, nie jest możliwe ani usunięcie tej niezgodności, ani wymiana towaru na nowy. Kot jako istota żyjąca jest towarem jednostkowym odpowiadającym przedmiotowi określone- mu co do tożsamości. Niezgodność polegająca na obecności wirusa wywołującego nieuleczalną i śmiertelną chorobę jest istotna”. I w konsekwencji: „Powódka wykryła niezgodność zakupionego od pozwanej kota z umową najpóźniej 3 listopada 2014 r. (odbierając wynik badania), a więc przed upływem sześciu miesięcy od wydania kota. Pozwana nie

obaliła wynikającego z art. 4 ust. 1 ustawy o szczególnych warunkach sprzedaży konsumenckiej domniemania, że wada ta istniała w chwili wydania kota, nie zostało bowiem udowodnione, że kot zaraził się koronawirusem później, ani że po wydaniu kota powódce doszło do mutacji tego wirusa (...). Niezgodność kota z umową była istotna. Ponieważ kot nie mógł podlegać ani naprawie, ani wymianie, powódce przysługiwało prawo odstąpienia od umowy sprzedaży. Powódka złożyła pozwane oświadczenie o odstąpieniu od umowy w taki sposób, że pozwana mogła się z nim zapoznać w dniu 18 listopada 2014 r., a zatem z tym dniem skutecznie odstąpiła od umowy sprzedaży”.

Sąd Okręgowy w Krakowie oddalił apelację Leokadii O. i podtrzymał wyrok sądu rejonowego na rzecz Dominiki C. Wyrok kosztował tę pierwszą 2228 zł z odsetkami ustawowymi od 26 listopada 2014 r. do dnia zapłaty. Do tego doszły koszty pierwszego procesu w kwocie 1281,01 zł plus koszty rozprawy apelacyjnej w kwocie 450 zł.

WJK



Tydzień z głowy

Coraz gorzej żyć w zawirusowanej Polsce. Przejebane mają trójkąty, gdyż poruszać się można najwyżej parami; mafołaty mogą wychodzić na spacer z psem tylko pod kuratelą dorosłych; dozwolona odległość człowieka od człowieka zwiększyła się do dwóch metrów, w jednym sklepie może być tylu klientów, ile jest czynnych kas razy 3 i założonych rękawiczek gumowych razy 6, a na poczcie – ile okienek razy 2; starcom, żeby nie wyginęli, wolno robić zakupy przez dwie godzinny dziennie. Nadal bez ograniczeń można się wpatrywać w smutne oczy ministra Szumowskiego i słuchać kłamstw premiera Morawieckiego.

Szczurek-Żelazko (takie nazwiska nosi kobieta, która jest wiceministrem zdrowia) wysłała do wojewódzkich konsultantów w dziedzinie epidemiologii pismo zakazujące im publicznego wypowiadania się na temat pandemii. Nie wolno im informować opinii publicznej zwłaszcza o brakach sprzętu oraz o fałszowanych statystykach zakażeń i zgonów. A co wolno? Do utraty sił chwalić ministra Szumowskiego, że się mikrobom nie kłania.

Wymyśloną przez rząd i klepiętą przez pisowski Sejm tarczę antykrzysową skontestował opozycyjny Senat, żądając większej pomocy państwa dla pracowników i pracodawców, zaprzestania na miesiąc przed wyborami prezydenckimi grzebania przy kodeksie wyborczym i skończenia z przemocą premiera w Radzie Dialogu Społecznego. Wszystkie zmiany senackie Sejm odrzucił, z czym zgodził się Duda, podpisując ustawę.

Pisowcy poszli jeszcze dalej – przepisy wyborcze chcą zmienić tak, żeby każdy wyborca 10 maja mógł głosować zdalnie, czyli korespondencyjnie.

Ciągle robiona w wata opozycja wyje z wściekłości, że Duda chce przejść do historii, okrywając się niestawą jako prezydent, który wygra drugą kadencję na zwłokach. Aby ta prawda dotarła do suwerena, kandydatka Koalicji Europejskiej na prezydenta Małgorzata Kidawa-Błońska uczyniła krok tak niezrozumiały jak niemądry: zawiesiła kampanię wyborczą, ale nie wycofała się z wyborów. Szanowna Pani Marszałek, Dudzie wisi, czy wybierze go pół narodu, czy garstka wyznawców, przy urnach czy za pomocą pakietów wyborczych – dla niego liczy się tylko zwycięstwo, które spowoduje poprawę samopoczucia prezesa.

Prezes wie, co robi, żądając przeprowadzenia wyborów w terminie, zbliża się bowiem monsturalna recesja, z którą tacy geniusze jak Duda i Morawiecki nie ma chuja we wsi, żeby sobie poradzili. Aby marzyć o utrzymaniu władzy, Duda musi wygrać wybory jak najprędzej i najlepiej w pierwszej turze, a Morawiecki – zobaczycie – od razu po wyborach wprowadzi stan wyjątkowy, godzinę polityczną, wojsko na ulice itp. Skuś baba na dziada!

Z sondażu firm Neurohm i Brad Consulting dla portalu Onet.pl wynika, że z 63 do 79 procent wzrosła liczba Polaków, którzy chcą przełożenia wyborów prezydenckich na późniejszy termin. W tym samym badaniu 32 procent pytanych (wzrost o 8 procent) negatywnie oceniło działania pisowskiego rządu w czasach zarazy.

Coraz więcej burmistrzów i prezydentów miast ostrzega pisowski rząd, że 10 maja samorządy nie będą miały możliwości urządzić wyborów prezydenckich. Terlecki, pisowski wicemarszałek Sejmu, ostrzegł samorządowców, żeby nie podsakowali, bo władza państwowa ma jeszcze tyle siły, żeby zepchnąć ich ze stołków i posadzić na nich komisarzy rządowych.

Witek (kobieta, która jest marszałkiem zdominowanego przez pisowców Sejmu) wygłosiła orędzie do narodu. Stwierdziła, że wybory korespondencyjne 10 maja zapewnią Polakom bezpieczeństwo. A Cyklon B w Oświęcimiu dobrze robił Żydom na cerę...

Duda błysnął typowym dla siebie opóźnionym flescem intelektu, zauważając, że skoro „są warunki do tego, żeby chodzić normalnie do sklepu, to są i warunki do tego, żeby pójść do lokalu wyborczego”. A teraz niech się Pan skupi, Panie Prezydencie, i przeanalizuje zdanie: Jeżeli jeden prezydent Polski pierdoli jak potłuczony, to znaczy, że prezydenci wszystkich państw świata byli, są i będą bałwanami. Tak?

Ten sam Duda, a nie wnuk, którego nie ma, nagrał filmik dla chińskiej platformy przeznaczony dla dzieci TikTok, czym udowodnił, że śmieszność jest jak Kosmos – stale się poszerza i właściwie nie ma granic.

Próbne egzaminy dla ósmoklasistów w internecie zakończyły się tym, czym kończy się większość szkolnych inicjatyw pisowskiego rządu – kompromitacją. Drogie dzieci oraz ty, Andrzej: XXI-wieczna Polska tym się różni od innych krajów, że oprócz koronawirusa zagrażają jej zwykłe wirusy komputerowe. I robaki.

Publiczna TVP postanowiła wspomóc państwo w zbożnym celu edukacji narodowej i zaczęła nadawać nowe programy edukacyjne oraz poradnikowe dla dzieci. Gdyby poziom tych audycji porównać do wzrostu Jacka Kurskiego, prezes TVPiS musiałby mierzyć 9 cm. W kłębie.



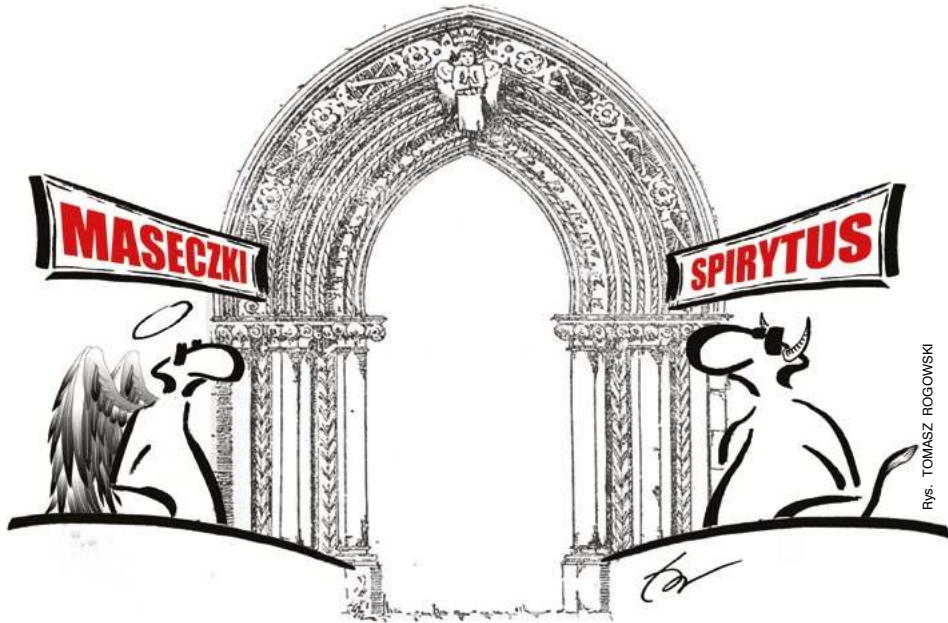
Kwarantanna antysemit

Polacy od swojego rządu dostali karę aresztu domowego, wcześniej praktykowaną w wojsku. W moim życiu zmienia to niewiele, ponieważ zawsze 4 dni każdego tygodnia siedziałem w domu. W pozostałe jeździłem do redakcji „NIE”, ale i tak byłem w niej izolowany. Rozmawiano ze mną przez telefon. Żaden dziennikarz nie wchodził do mojego pokoju zwanego gabinetem, bo wszyscy się mnie brzydili. Był to wstręt klasowy. Zespół tygodnika tworzą lewicowcy, a ja jestem kapitalistą. Dzięki koronawirusowi i inflacji, którą władza robi dla odparcia zarazy, mocno zubożęją. Tkwiąc w domowej izolacji, zbliżę się więc do ludzi.

Jestem zamknięty z żoną i dwiema pracownicami domowymi, które z nami mieszkają. Pracownik dochodzący przestrzega środków ostrożności. Kierowca i członkowie ochrony nie mają do nas dostępu. Widzimy się przez szyby pancerne. Żona przestrzega dwumetrowego dystansu do mnie. Tej nocy jednak popiła, przyszła do mojego odrębnego barłogu, nie zachowując ani milimetra dystansu, gdyż pragnęła bliskości. Daniszewska nie wie, że koronawirus, jak i ja, jest Żydem, wyklął się u chińskich Żydów. I że my, parchy, zarażamy nie na 2 metry ale na 6. Przy tym poplujemy bardzieli i dalej niż goje. To, że stanowimy źródło epidemii zostało historycznie dowiedzione.

W pierwszej połowie XIV stulecia nastał w Europie mór i pomór. Wobec tego w pogromach zginęła większość Żydów. Gdy przestali żyć, zaraza ustąpiła. Średniowieczna epidemia wpterw dopadała dziewczcie, gdyż Żydzi lubili uprawiać z nimi seks. Żydzi łatwiej łapią zarazę dlatego także że ci religijni modlą się wprost do Boga, pomijając niezbędnych pośredników: księży, Chrystusa, Jego matkę i świętych. Ich modły nie docierają, bo przed Bogiem robi się wąskie gardło. Wirus na początek dopada tych, którzy drwią z niego. Jest obraźliwy. Żydzi to plemię żartownisiów. Będąc jego członkiem, czyli egoistą, bardziej się boję, że mnie zarażą, niż że ja rozwlokę wirusa.

Wszystkie wskazówki lekarzy pierdolą mi się. Wirus nie żyje poza organizmem człowieka. Z drugiej strony długo żyje w tek-



turze, czy mogę więc czytać książki? Żyje też w plastiku. Mineralna jest więc groźna i wszystko, co opakowane. Nie wiem, które sprawunki bardziej chcą mnie zabić – te w torbie plastikowej czy te w papierowej? A lekarstwa wszystkie w plastikach. Mam ochotę się powiesić z miłości do życia.

Osobiście nie boję się epidemii, ponieważ wierzę w statystykę. Powiada ona, że jest znacznie większe prawdopodobieństwo, że w 2020 r. umrę ze starości i na swoje trwałe choroby, niż z powodu zarażenia się. Moja kwarantanna absurdalna przez to jest, a trzymam się jej, ulegając psychozie, którą robi propaganda. Także dlatego że izolacja mało zmienia w moim życiu. „Wyborcza” zachwała wycieczki bez wychodzenia z domu. Od dziesięciu lat jestem takim właśnie podróżnikiem i to sobie chwałę. Miesiąca trzeba, żeby objechać Kongo, kwadransa, aby je obejrzeć w internecie. Izolacja wydłuża więc życie. Gazeta zaleca zwiedzanie wyścigów konnych z 1957 r., Kaszub na starych zdjęciach, archiwum fotograficznego Hasióra, filmów z Jarocina i Huty Katowice. Odmawiam. Nie jestem hazardzistą, nie znoszę folkloru i wrzaskliwej muzyki jarocińskiej. Hutę Katowice zwiedzałem zaś na własne oczy w trakcie budowy i później. „Wyborcza” zamyka

mnie więc jeszcze szczelniej niż minister Szumowski, który dla zdrowia rekomenduje obrazki ruchome zwane filmami. Nie mam komputera ani umiejętności wchodzenia na porno, ale telewizory posiadam.

Wiem, bredzę, chociaż mam wszystkie kłapki w głowie i dwoje na nogach. Piszę od rzeczy, ponieważ Czytelników obchodzi wyłącznie koronawirus, a już powiedziano i napisano o nim wszystko, co ma sens, a nawet więcej.

Epidemia minie, ale nawet moje wnuki zmusi do rozważania jej skutków, aż do nierychłej przecież ich śmierci. Na tym polegając będzie uwięzienie w zarazie, aż do końca wieku. W zamian Polacy, nawet gnojki, przestaną żyć w cieniu II wojny, a IPN przestawi się na historię zarazy.

sekr@redakcja.nie.com.pl

WIATER W OCZY

JAK JA, KURWA, NIE NAWIDZĘ ŻYWYCH ORGANIZMÓW



Prima aprilis

Uspokajając Czytelników, z łałem przyznajemy, że w poprzednim – pierwszokwietniowym – numerze „NIE” sprzeniewierzyliśmy się wieloletniej tradycji i nie zamieściliśmy żadnej publikacji kłamliwej, oszukańczej czy wprowadzającej w błąd. Wszystko, co napisaliśmy, było szczerą prawdą, a zwłaszcza:

– to, że prezydent Siemianowicz Śląskich dowodził w walce z koronawirusem powierzył Matce Boskiej („Matka Jezusa, bat na wirusa”);
– to, że premier Polski zamknął granice, czym wkurwił Bułgarów, Estończyków, Litwinów i Łotyszy („Morawiecki na granicy szaleństwa”);

– to, że 54 procent Polaków nie używa dezodorantu („Śnięta rodzina”);
– to, że w Polsce najbrudniej jest pod latarnią, czyli w szpitalu („Kał na zdrowie”);
– to, że są na świecie duchowni bardziej chciwi niż mnich z Torunia („Rydziki z Ameryki”);
– to, że polscy związkowcy naprawdę myślą, że węgiel kamienny ma kolosalną przyszłość („Tak wymiera »Solidarność«”);
– to, że zwierzaki w domu Urbana nie wiedzą, że panuje epidemia („Blog wszystkich świętych...”);
Zawiedzionych przepraszamy, wyrażamy żal i obiecujemy, że za rok to dopiero damy primaaprilisowego czału.

MARTA M.

JOANNA SKIBNIEWSKA

O zagrożeniach, jakie niesie ze sobą zakażenie koronawirusem, mówią wszystkie jednostki poza jedną – Centralnym Zarządem Służby Więziennej. Choć tam jest naprawdę czego się bać.

– Za chwilę wybuchnie bunt – mówi mój anonimowy rozmówca, dyrektor zakładu karnego. – I władze to wiedzą, dlatego nie wstrzymano widzeń w kryminale. Nie byłoby policjantów ani ratowników medycznych, gdyby doszło do zamieszek.

Bunt szykuje się nie dlatego że widzenia ograniczono, ale dlatego że dla więźniów nie ma testów na obecność koronawirusa. A więźniowie chorują.

Paracetamol na wszystko

– Dostaliśmy zakaz udzielania jakichkolwiek informacji – mówi dyrektor. – Jeśli ktokolwiek coś powie, na pewno straci pracę. Wspomniano nawet o degradacji.

Sytuacja w więzieniach jest gorsza niż gdzie indziej. Z zakażonymi osadzonymi nie ma co zrobić.

O tym, że więzień ma gorączkę, funkcjonariusz dowiaduje się, gdy jego stan zagraża życiu.

– Proszę pamiętać, że to często nie są słodkie misie – mówi funkcjonariusz z pomorskiego więzienia. – Jeśli władze więzienia w porę nie przeniosą chorego w odosobnienie, to zwykle dochodzi do niepohamowanych aktów agresji w stosunku do chorego. Tylko gdzie niby mielibyśmy go przenieść? Do gabinetu dyrektora? A może na dyżurkę?

Więźniowie zawsze chorowali częściej niż osoby na wolności. Chorują nieustannie na płuca i różne choroby układu pokarmowego. Z powodu skandalicznych warunków życia w polskich pudłach.

– Na wszystko zawsze był paracetamol – mówi Tomasz K., mężczyzna, który niedawno opuścił kryminal.

Jedna łaźnia, jedno wiadro

Większość zakładów karnych mieści się w starych, od wielu lat nieremontowanych budynkach. W celach jest grzyb. Zimno. Cele są nie wietrzone.

W więzieniach i aresztach ludzie nie tylko dzielą łazienki, ale zwykle załatwiają się do klozetów zainstalowanych tuż obok prycz. Środków odkazających nie ma. Toalety w celach rzadko mają pokrywę, a są takie kryminaly, w których więźniowie korzystają jedynie ze wspólnego wiadra opróżnianego raz dziennie.

Więźniowie dzielą też pralnie i jadalnie.

40 procent osadzonych cierpi na schorzenia przewlekłe. Zwykle są to starsi więźniowie, stanowiący grupę ryzyka.

Każda choroba wirusowa rozprzestrzenia się tu błyskawicznie.

Widać to najlepiej na przykładzie obecnego w więzieniach wirusa HIV, który w porównaniu z koronawirusem

Puszka z koroną

Kwarantanna w więzieniach wznęca niepokoje. Opanowanie zarazy w izolacji jest mało prawdopodobne.

może okazać się niewielkim problemem. Rozpowszechnienie HIV w więzieniach jest 15 razy większe niż w całej populacji dorosłych. Informacja, że osadzony ma HIV, jest przekazywana od razu po przyjęciu do więzienia. Ale czy coś to zmienia? Zwykle nic. Niby są wyizolowane cele, w których siedzą tylko ci z AIDS, ale to tylko teoria. Nie ma miejsc. Polskie więzienia są tak dramatycznie przepełnione, że wielu dyrektorów woli nie wiedzieć, że ten czy tamten osadzony ma HIV, bo wtedy musi znaleźć odpowiednią celę, gdzie zarazony nie będzie przebywał razem ze zdrowymi więźniami. A jak ją znaleźć?

– Koronawirus, który jest bardziej śmiertelny niż grypa, może poczynić w zakładach karnych prawdziwe spustoszenie i mieć niesłychane konsekwencje – mówi funkcjonariusz z zakładu na Pomorzu. – W krajach, w których pandemia na dobre szaleje, koronawirusem zostali zarazić zarówno strażnicy, jak i więźniowie. I to nie są jednostkowe przypadki. Są ich setki.

– Mówimy o więzieniach, gdzie są znacznie lepsze warunki niż u nas, a zakłady nie są tak przeciążone – dodaje funkcjonariusz. – U nas więzienia i areszty wkrótce staną się epicentrami pandemii koronawirusa, jeśli będzie kontynuowana dotychczasowa profilaktyczna bezczynność.

Czyli jaka? – Wyobraża sobie pani, że więźniowie będą mieli dostęp do testów na obecność wirusa w sytuacji gdy emerycy, samotne matki czy też nawet bogaci biznesmeni nie mogą sobie zrobić testu? – pyta dyrektor. – Jak pani myśli, jakie będą komentarze w mediach? Jak zareaguje społeczeństwo?

Czyli dostępu do testów nie ma. Do leków też.

– W przypadku podejrzenia o koronawirus nadal możemy podać jedynie paracetamol. Zwykle nie dysponujemy innymi lekami.

Paluszek i główka to dobra wymówka

Więźniowie, którzy wiedzą, że i tak nikt ich nie zbada, zaczynają symulować objawy zakażenia.

– Nie podnosiła sobie pani temperatury, żeby nie iść do szkoły na kla-

sówkę? – pyta mnie zdziwiony były więzień.

Suchy kaszel, ból stawów, mięśni, duszności – to wszystko można świetnie udawać.

Więzień wie, że odizolowanie go jest niemożliwe. Zwykle niemożliwe jest też umieszczenie w szpitalu więziennym, bo decyzją Patryka Jakiego, gdy był ministrem odpowiedzialnym za więzienia, zlikwidowano większość szpitali więziennych.

– Placówki zlikwidowano, ponieważ nie spełniały norm – zapewnia nas rzecznik Centralnego Zarządu Służby Więziennej.

– Bzdura – mówi dyrektor więzienia. – Kitliński (szef CZSW), gdy obejmował stanowisko, na dzień dobry dostał polecenie znalezienia stu etatów dla ludzi Ziobry. Zaczęto zamykać szpitale, łączyć kilka jednostek w jedną po to, by oszczędzone etaty braли ludzie z ministerstwa. W areszcie w Białoleścu wychowawcy, psychologowie i administracja mają dyżury w ochronie.

Teoretycznie chorzy więźniowie z podejrzeniem koronawirusa mają być rozwożeni do specjalistycznych szpitali.

– Niedługo zaczną symulować, żeby tylko wyostać się na zewnątrz na leczenie specjalistyczne poza murami zakładu – mówi funkcjonariusz. – Tylko kto zapewni konwoje? Nie mamy tylu ludzi. Jeżeli dojdzie do takich sytuacji masowo, to upilnowanie osadzonych i zapewnienie bezpieczeństwa okaże się niemożliwe.

Wolny na przedłużenie ręki

Ministerstwo Sprawiedliwości wyostosoowało do jednostek penitencjarnych pismo. W resorcie opracowany został projekt noweli ustawy o zwalczaniu koronawirusa, która umożliwi działanie wymiaru sprawiedliwości w sytuacjach nadzwyczajnych, gdy np. z powodu kwarantanny dany sąd zostanie zamknięty i nie będzie mógł podejmować decyzji o warunkowym zwolnieniu czy o przerwie w odbywaniu kary. Decyzje te będą mogli podejmować dyrektorzy placówek. Może więc pojawić się nowa zaraza. To więźniowie, którzy niedługo wrócą do swoich środowisk.



Dokument ten zakłada, że 20 tysięcy więźniów mogłoby być objętych dozorem elektronicznym, a nie przebywać w więzieniu. Dotyczy to tych, którzy mają „orzeczony wyrok nie wyższy niż 1,5 roku”.

Ci, którzy mają wyrok krótszy niż 3 lata, mogliby poprosić o przerwę w odbywaniu kary na czas epidemii. – Ja dostałem „dwójkę” za paserkę, ale ze mną w celi siedział gość, który dostał 2,5 roku za gwałt. Napad „z przedłużeniem ręki” (np. z nożem) to zwykle 2 lata – mówi były więzień. Oni wszyscy wyjdą na wolność.

– Nie tylko oni – zapewnia dyrektor zakładu. – Będzie się wysyłać na przepustki lub robić przerwy w odbywaniu kary tym, którzy mają objawy koronawirusa. Po pierwsze żaden dyrektor nie chce mieć „wydarzenia nadzwyczajnego” (śmierci w więzieniu), lepiej więc, jeśli delikwent umrze w domu lub na ulicy. Po drugie zarządzający zakładami karnymi nieoficjalnie dostali takie wytyczne od przełożonych. Ze względu na statystyki.

Informacja nie wychodzi z mamra

Dyrektorzy i rzecznicy CZSW mają mówić, że choroba, która pojawiła się w pudłach, jest wynikiem przyjęcia do więzień takich, którzy zanim trafili do kryminalu, zostali zakażeni koronawirusem. Informacja, że ktokolwiek zakaził się koronawirusem w mamrze, nie ma prawa wyjść poza mur.

„Nikt nie chce przynąć, w którym zakładzie przebywa osadzony, który został osadzony już po potwierdzeniu, że jest zakażony koronawirusem” – pisze lokalna »Gazeta Wyborcza«. Wiadomo jednak, że jest objęty kwarantanną”.

– To już nawet nie jest śmieszne – komentuje funkcjonariusz SW. – Niby gdzie ma tę kwarantannę?

„Od 12 marca we wszystkich aresztach śledczych i zakładach karnych dokonywany jest profilaktyczny pomiar temperatury ciała

wszystkim osobom wchodzącym na ich teren. Kontroli poddawane są także osoby odwiedzające osadzonych. W przypadku stwierdzenia temperatury ciała przekraczającej 38 stopni Celsjusza, podejmowana jest decyzja o zakazie wejścia na teren jednostki” – informuje rzeczniczka CZSW ppłk Elżbieta Krakowska.

Mój rozmówca skwitował to śmiechem...

– A o tym, że cały czas odbywają się ekstradycje z innych krajów, także tych, w którym wirus szaleje, jakoś nikt w CZSW nie mówi.

Leczenie

– Może dojść do buntu – dodaje dyrektor więzienia. – A to nie jest zwykły strajk, z czego nie zdaje sobie społeczeństwo.

Pracownicy więzień zapewniają, że polscy osadzeni potrafią organizować okrutne jatki w więzieniach. Przed laty, gdy wybuchł bunt w Goleniowie, przestępcy opanowali 2 pawilony i starli się z funkcjonariuszami. Doszło do spalania żywcem jednego z osadzonych.

W Czarnem był rozlew krwi. Tam od początku sytuacja wymknęła się spod kontroli. Funkcjonariusze obawiali się, że skazańcy, którzy weszli na mury, zeskoczą z nich i przedstąpią na wolność. Zaczęto strzelać w ich kierunku. Po stronie buntowników było wielu zabitych.

Dziś też trzeba by było od razu strzelać do więźniów, gdyż koronawirus już zdziesiątkował klawiszy i nie da się w sposób cywilizowany opanować buntu, bo nie ma kto tego zrobić.

Na ograniczenie widzeń we włoskich więzieniach w celu uniknięcia zakażenia, więźniowie zareagowali natychmiast. Demolują budynki, wzniciają pożary, wchodzą na dachy, atakują straż więzienną.

– Tylko czekać, kiedy u nas będzie tak samo – podsumowują moi rozmówcy. □

askibniewska@redakcja.nie.com.pl

Dokończenie ze str. 1

– W związku z pandemią od 12 marca obowiązuje zakaz organizowania imprez artystycznych i rozrywkowych – mówi inspektor. – Agencje towarzyskie z reguły działają pod szyldem klubów ze striptizem, a w ewidencji figurują jako podmioty trudniące się rozrywką właśnie. Niekiedy rejestrowane są jako restauracje lub bary, ale ich funkcjonowanie również jest zabronione. W stanie epidemii nie mogą zatem prowadzić jakiejkolwiek działalności, nawet pod przykrywką. Bo bez przykrywk sprawy jest zupełnie jasna: czerpanie korzyści majątkowych z uprawiania prostytucji przez inną osobę jest przestępstwem zarówno w czasie epidemii, jak i wtedy, gdy jej nie ma. Poza wszystkim warto zachować zdrowy rozsadek. Apeluję o jego zachowanie zarówno do pań, jak i panów.

3. Nawet w przyłbicy nie

Żeby się przekonać u źródła, jak w czasach zarazy ma się seksbiznes, wydzwaniałem do przybytków w całej Polsce. W słuchawce trzeszczało, że abonent wyłączył telefon albo znajduje się poza zasięgiem. To dowód na to, że sektor płatnej miłości pada na pysk. Wyjątki

Bezruch burdeli

były raptem 3, ale i one nie napawają optymizmem. W warszawskiej agencji „Czarny lotos” komórka była włączona i abonent znajdował się w zasięgu, ale nikt nie odbierał i po kilku próbach postanowiłem wywiesić białą flagę. Po chwili agencja zadzwoniła do mnie. Zamiast wyzajawiej kobiety usłyszałem samca o barwie głosu rychłego samobójcy.

– Było dzwoniłone, to oddzwaniam – zakomunikował dzentelmen o szerokich horyzontach i subtelnym zasobie leksykalnym.

– Mam nadzieję, że mimo tych dyrdymałów o koronawirusie i zarazie można skorzystać z usług dziewczynek? – spytałem. – Coś pan zgłupiał? Nie pracujemy. Cała branża zamrożona. Nigdzie pan nie pociupciasz.

– Nawet w przyłbicy i kombinezonie się nie da?

– Nie u nas. A w ogóle to ktoś żart zrobił i podał mój numer jako agencyjny. Dlatego grzecznie mówię: krzyż na drogę!

W krakowskim klubie nocnym „Butterfly” (dawniej „Pussy Cat”) również miałem do czynienia z mężczyzną.

– Nieczynne do odwołania – obwieścił. – Nie oszukujmy się, wsparcia rządu nie będzie, więc pewno szybko się nie pozbieramy. Komu w głowie amory, gdy za oknem pandemia? Zdalnie się nie da, żadne home office w grę nie wchodzi... Nie było wyjścia, dziewczyny dostały wolne. Nie ma takiej odważnej, żeby zaryzykowała. Klientom też radzę, żeby dali sobie spokój. Zapraszam w lepszych czasach. Oby nadeszły.

W gdańskim klubie „Rozi Night” odebrała kobieta, lecz zaprawdę powiadam wam, gość z „Czarnego lotosu” tembr miał przyjemniejszy. – Nie przyjmujemy z powodu zarazy. A w przyłbicy to se możesz pospawać – zakomunikowała, po czym beceremonialnie zakończyła połączenie, dowodząc, że branża znalazła się w naprawdę głębokim kryzysie.

Wygląda na to, że w głębszym niż w latach 80. XX w. Jak wiadomo, popyt na seksusługi zmalał wtedy z powodu HIV, ale wnet okazało się, że przed nabyciem braku odporności w kurwidołkach można się uchronić, korzystając z prezerwatyw. I wszystko wróciło do normy. Chińskiemu mutantowi kondom niestraszny.

Z koronawirusem w tle miłości uprawiać się nie da. Nie tylko płatnej. Narodowi wybranemu grozi depopulacja, której nie powstrzyma nawet „1000 plus” i dwudziesta czwarta emerytura.

mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

Angela, oddaj siano!

Rząd PiS zdecydował o wpompowaniu w polski rynek 212 mld zł. W tym samym czasie w ramach walki z kryzysem Niemcy postanowili wyłożyć na pomoc swojej gospodarce 750 mld euro. Tak się szczęśliwie składa, że mniej więcej o takiej kwocie odszkodowania za II wojnę światową PiS od kilku lat mówi publicznie.

Polacy, nie dajcie więc sobie wmówić, że trzeba zaciskać pas! Ratunek dla naszych finansów jest na wyciągnięcie ręki i Kaczyński to zaraz załatwi.

Jak zwykle w poczynaniach prawicy bywa, najpierw była fanfaronada. We wrześniu 2014 r. tygodnik braci Karnowskich „Sieci” doniósł na okładce, że Niemcy za szkody wywołane II wojną światową wiszą nam, lekko licząc, 845 mld dolarów. Temat przycichł aż do zdobycia przez PiS władzy.

17 grudnia 2015 r. kilkoro posłów i senatorów PiS zawiązało Parlamentarny Zespół ds. Reparacji Należnych Polsce. Grono zebrało się raz, aby wybrać przewodniczącego i wiceprzewodniczącego. Przez trwającą 4 lata kadencję więcej się nie spotkano.

We wrześniu 2017 r., wraz z narastaniem konfliktu wokół Berlina, wciskającego wścibski nos w naszą praworządność, do gry o reparacje przystąpiła prawa ręka Ziobry – poseł Arkadiusz Mularczyk. Na jego wniosek Biuro Analiz Sejmowych opublikowało sprawozdanie, z którego wynikało,

że spowodowane przez hitlerowców straty w mie- niu państwowym i prywatnym, wyniosły ponad 258 mld przedwojennych złotych, co dawało ów- cześnie ok. 48,8 mld dolarów amerykańskich.

O pracach tego zespołu pisaliśmy wielokrot- nie – m.in. że spotykano się rzadko i zwykle w pośpiechu (najkrótsze posiedzenie trwało 13 minut), żeby porozmawiać np. o mającym le- cieć w telewizji filmie dokumentalnym.

Kwoty odszkodowań przedstawiane przez najważniejszych polityków PiS przypominały licytację. Rzucano oderwane od rzeczywisto- ści kwoty, od 3,5 bln zł (7-krotność rocznego PKB Polski) do 25 bln zł. To mniej więcej tyle, że przez 100 lat nasz kraj w ogóle nie musiałby ściągać od obywateli podatków.

Ostro do boju o tę forę ruszył prezes Kaczyński. „Sprawy reparacji wojennych nie traktuję jako beznadziejnej od strony finansowej; uwa- żam, że mamy szansę” – oznajmił w 2017 r. w rozmowie z „Sieciami” braci Karnowskich.

Rok później naciskał w mediach mocniej, gro- żąc też paluchem Putinowi: „W żadnym wypad- ku nie możemy zaakceptować sytuacji, w któ- rej nie otrzymaliśmy rekompensaty nie tylko za niemieckie zbrodnie, lecz także za skutki działań ZSRR wobec Polski, na które Zachód się zgadzał”.

Jeszcze w styczniu 2020 r. w wywiadzie dla niemieckiego „Bilda” Kaczyński wyznał, że Pol- ska nie pogodzi się z brakiem odszkodowań za straty wojenne, a polskie roszczenia, także wo- bec Rosji, nie ulegają przedawnieniu. To było 2 miesiące przed wybuchem pandemii.

Intensywna praca posła Mularczyka i kole- gów przyniosła efekty: 14 maja 2019 r. podsumo- wali i zakończyli prace nad raportem o stratach wojennych. Treści raportu nikt nie widział. Naj- pierw Mularczyk zapewnił, że dokument ukaże się 1 września, w 80. rocznicę wybuchu wojny, ale gównie z tego wyszło. Zamiast tego premier Morawiecki udzielił wywiadu „Westdeutsche Allgemeine Zeitung”, w którym podkreślił, że „Polska nie otrzymała od Niemiec odpowied- niej rekompensaty za okrucieństwa drugiej wojny światowej. (...) To nie jest sprawiedli- we. Nie może tak zostać”.

Po jesiennych wyborach w Sejmie nowej IX kadencji na kontynuowanie prac zespołu już się nie zdecydowano. Podobno rozmowy o od- szkodowaniu miały się toczyć na innym szczeblu.

Tymczasem treści raportu pisowskiego ze- społu jak nie było, tak nie ma. Mularczyk tłumaczy, że wynika to z faktu, iż zamiast rozmieniać się na drobne, od razu zabrano się za tłumacze- nie dokumentu na język niemiecki i angielski, bo dyskusja toczyła się na forum między- narodowym, a tematyka i słownictwo są przecież skomplikowane.

Wysokość strat została oszacowana przez ze- spół Mularczyka na 850 mld dolarów – czyli praktycznie tyle samo, ile wyszło u Karno- wskich, i akurat tyle, ile Niemcy chcą teraz włożyć w swoją gospodarkę, a przecież mogliby w naszą.

Piszę o tym wszystkim oczywiście nie dla- tego że żadnych pieniędzy z Berlina nie dosta-



ILUSTRACJA: KRZYSZTOF OLEJNIK

niemy, ale że podczas trudnych czasów pande- mii dobrze jest się rozweselić, a po przeczytaniu owoców wieloletniego bicia piany posła Mula- rczyka, całe Niemcy aż kłaskać się będą ze śmiechu.

MICHAŁ MARSZAŁ

michal.marszal@redakcja.nie.com.pl

Polityka informacyjna rządu w sprawie koronawirusa polega na tym, żeby mówić jak najwięcej, nie powiedzieć nic. Codziennie Mini- sterstwo Zdrowia, sanepid oraz Mo- rawiecki i Szumowski zalewają media milionem słów i zwrotów. Warto im się przyrzec.

„Nowe przypadki zakażenia”

to sformułowanie występujące w Twit- terowych informacjach Ministerstwa Zdrowia, gdy podaje się informację o kolejnych zakażonych. Hasło to nie ma jednak nic wspólnego z osobami, w których zagnieździł się SARS-CoV-2. Liczby wymieniane przez resort to je- dynie informacja o tym, ile przebadanych próbek dało wynik pozytywny. Próbkę leżą w laboratoriach nawet 2 dni, a są pobierane w większości od osób będących na kwarantannie od dni pięciu. Co by oznaczało, że „nowe przypadki zakażenia” są sprzed tygo- dnia. Początkowo dzienna liczba nowo zakażonych była bardzo mała. Bo testy robiono za granicą. Potem ro- śła. Jednak w dalszym ciągu podawa- ne liczby nie miały nic wspólnego z postępiami czynionymi przez koro- nawirusa. Wzrost liczby „przypadków potwierdzonych pozytywnym wy- nikiem testów laboratoryjnych” nie wy- niknął z tego, że coraz więcej osób się zarażało, lecz dlatego że coraz więcej laboratoriów testowało rosnącą liczbę próbek i znajdowało wśród nich te z koronawirusem. „Nowe przypadki zakażenia” to zatem wyłącznie staty- styczna dana pokazująca, jak pracują laboratoria.

„Choroby współistniejące”

to coś, co dotyczy wszystkich śmie- telnych ofiar koronawirusa. Zwrot ten nie ma żadnej wartości informacyjnej i jest używany wyłącznie po to, aby myślicy o sobie jako osobach zdro- wych obywatele nie wpadali w panikę. Nie oznacza to, że komunikaty resortu zdrowia kłamią. Nie ma przecież siły, żeby chore na koronawirusa nie miał przy okazji próchnicy, grzybicy stóp, nietrzymania moczu, krótkowzrocz- ności, opryszczki czy HPV – którego jedną z kilkadziesiąt odmiann ma 80 procent Polaków.

Nie zawsze jednak medycy godzą się na użycie takiego sformułowania, bo ich zdaniem, jeśli ktoś z koronawi- rusem nie ma cukrzycy, nadciśnienia, raka, a na dodatek nie pali papiero- sów, to zastosowanie hasła „choroby współistniejące” jest nadużyciem. Na taką sytuację spece od propagandy w Ministerstwie Zdrowia wymyślili

Co słyszeć pod mikroskopem

Język czasów zarazy.

formułkę: „Powodem śmierci zmar- łej dziś 37-letniej pacjentki z Pozna- nia było zakażenie koronawirusem i choroby, które pojawiły się w na- stępstwie zakażenia”. Czyli nie skła- mali, ale przemycili do świadomości mas, że to nie sam koronawirus zabił. Bo tylko z nim służba zdrowia by so- bie na pewno poradziła.

„W sile wieku”

objawiło się, gdy Szumowski infor- mował o pierwszym przypadku zdia- gnozowanego w Polsce koronawiru- sa. Powiedział: „Pacjent, u którego wykryto zakażenie koronawirusem, to człowiek w sile wieku”. Potem to określenie stało się standardem. Ale tylko przy newsach o „nowo zara- żonych”. Gdy pierwszy polski pacjent zero opuszczał szpital, ministerialna

w średnim wieku, jednej nastolet- niej dziewczyny, sześciu młodych kobiet oraz trzech kobiet w średnim wieku. Są to osoby w wieku od czte- rech do 72 lat”. Dzięki temu wiado- mo, że dziecko to ktoś mający 4 lata, zaś starszy mężczyzna to osoba 72-let- nia. Czyli już po „sile wieku”. Tajem- nicą Ministerstwa Zdrowia pozostaje kwestia, ile lat musi mieć kobieta, aby nie będąc nastoletnią dziewczyną, być wciąż młodą, ale jeszcze nie w sile wieku.

„Zmarł pacjent zakażony koronawirusem”

w Kaliszu. Ale ofiarą epidemii nie zo- stał. Ministerstwo Zdrowia napisało, że „bezpośrednią przyczyną zgonu w tym przypadku nie był COVID-19. Dlatego pacjent ten nie zostaje włą-



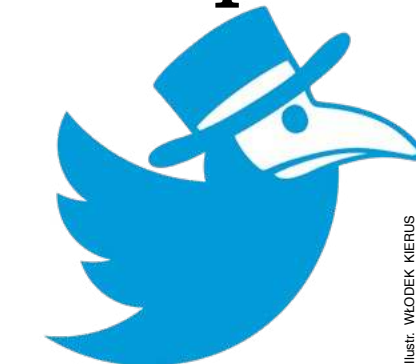
RYŚ: TOMASZ WATE

informacja mówiła o 66-letnim mę- czyźnie. Stąd wniosek, że według pol- skiej służby zdrowia siła wieku ozna- cza 66 lat.

Żeby zrozumieć przekaz z komu- nikatów resortu zdrowia, potrzebna jest książka kodów. Jej namiastką może być informacja łódzkiego sanepidu, że „potwierdzone wyniki dotyczy- jednego dziecka, jednego starsze- go mężczyzny, dwóch mężczyzn

czony do statystyk osób zmarłych z powodu COVID-19”. 27-letnia pani z koronawirusem, której zmarło się w Łańcucie po cesarskim cięciu, też nie umarła zdaniem resortu zdrowia z po- wodu zarazy, dostała bowiem sepsy. To, że według WHO sepsa występuje jako jedno z powikłań COVID-19, nie mia- ło dla propagandzistów znaczenia.

„Zakwalifikowany jako kolejna ofiara” 71-letni pan, który umarł we



ILUSTRACJA: WŁODEK KIERUS

wrocławskim szpitalu zakaźnym na COVID-19 – jak to ujęło ministerstwo – „nie był jednak zakażony. Jego testy okazały się ujemne”. Dzięki temu wiadomo, że jeśli się ma koronawiru- sa, to dla dobra ministerialnej staty- styki umierać się na coś innego. A jeśli się umiera na koronawirusa, to też na coś innego.

Statystyka jest bowiem najistot- niejsza i dlatego Twitter Ministerstwa Zdrowia nie omieszczał poinformo- wać, że dla porządku „wyłączamy ze statystyk zdublowanego wcześniej pacjenta, co oznacza, że łącznie w województwie zachodniopomo- rskim jest 29 osób zakażonych koro- nawirusem”.

„Osoba powróciła z obszaru, w którym występuje transmisja COVID-19”

oraz ci, którzy mieli kontakt z oso- bą, która wróciła z tego obszaru – tak brzmiało najważniejsze dla służby zdrowia przykazanie ministerstwa. Je- śli ktoś nie wypowiedział tej formu- lki w kontakcie z sanepidem, to przez panią telefonistkę traktowany był jak zdrowy. Kryterium to obowiązywa- ło przez niemal 3 tygodnie od ujawnie- nia pierwszego przypadku. I przez 2 tygodnie od czasu, gdy Szumowski powiedział, że Polacy przekazują so- bie wirusa w eksporcie wewnętrznym. Teraz sanepidowi wystarczy do słu- chawki zakasać. Sucho zakasać, bo mokry kaszel nie jest „objawem nie- wydolności oddechowej”.

„Na kwarantannę odesłano”

z powodu kontaktu z zarażonym le- karzem dyrektora szpitala zakaźnego w Bolestawcu. Kamil Barczyk ani razu w czasie jej trwania nie był niepokoj- ny przez policję, która przynajmniej raz dziennie sprawdza czy poddani kwarantannie siedzą w domu. Dyrek- torowi kwarantannę nakazał lekarz

zakaźnik. A nie sanepid czy policja. To pokazuje, że oprócz kilkadziesią- ciu tysięcy ludzi wykazywanych co- dziennie przez Ministerstwo Zdrowia w wykazie „zakwarantowanych” i kolejnych kilkadziesiąt tysięcy z zakazem opuszczania mieszkań z powodu nakazu otrzymanego przy wjeździe do Polski, jest kolejnych kil- ka tysięcy, o których władza nie wie. W związku z tym cała ta statystyka bierze w łeb.

„Ognisko epidemii”

jest sformułowaniem nie odnoszącym się do epidemii koronawirusa w Polsce. Ogniska epidemii występują we Wło- szech, we Francji, w Chinach i USA. U nas nie. I dlatego publikuje się nie nieznaczające przyrosty koronopozytyw- nych, nie informując ilu z nich siedzia- ło już na kwarantannie i nie zarażało, bo zostali wytypowani jako mający kontakt z chorymi. Ilu zaś to samoistne przy- padki, które pojawiły się w sanepidzie z powodu kaszlu i gorączki. Takie infor- macje dla każdego epidemiologa byłyby wskazówką, czy zidentyfikowano już większość ognisk, czy może wciąż poja- wiają się nowe. Wygumkowanie zwro- tu „ognisko epidemii” z oficjalnego słownika Ministerstwa Zdrowia to do- wód na to, że w walce z zarazą jesteśmy w czarnej dupie.

„Ograniczenie w przemieszczaniu się”

wprowadzono, gdy ludzie i tak sie- dzieli w domach w dobrze pojętym poczuciu odpowiedzialności za siebie. Wprowadzono przepis martwy, bo nieegzekwowalny. Wychodzić można zatem do roboty i na zakupy, a nawet do kościoła. Nigdzie nie jest napisa- ne, że mieszkając w Szczecinie, nie można wyskoczyć do spożywczaka w Przemysłu. Wykorzystał to obywa- tel Andrzej Duda i wybrał się do odle- głego od Warszawy o 200 km kościoła w Częstochowie.

...

Puste słowa i zakazy. Zakłamujące rzeczywistość formułki. Nic niemó- wiąca i naciągana statystyka obłana setkami słów. Wszystko po to, żeby udowodnić siedzącemu w domu oby- watełowi, że mimo braku procedur i sprzętu Morawiecki nie kłamał, mó- wiąc ponad miesiąc temu, że

„jest przygotowany na przypuszczalne nadejście koronawirusa”.

TADEUSZ JASIŃSKI

Bakcyliada

Przebywanie w szpitalu to jak gra w rosyjską ruletkę.

We Włoszech zakażonych koronawirusem zostało ponad 6200 medyków, z czego 36 zmarło. Aby nie powtórzył się tamtejszy scenariusz, Ogólnopolski Związek Zawodowy Lekarzy (OZZL) zaapelował do rządu, żeby zadbał o bezpieczeństwo pracowników służby zdrowia. Najważniejszym postulatem jest zapewnienie odpowiednich środków ochrony osobistej. Bez tego istnieje niebezpieczeństwo odsunięcia od pracy licznej grupy medyków zakażonych lub przebywających na kwarantannie i przeobrażenie szpitali w ogniska rozwoju epidemii. Konieczne jest też zapewnienie dostępu do możliwych szybkich testów wykrywających zakażenie koronawirusem. Dzięki temu będzie można skrócić izolację personelu mającego kontakt z osobami zakażonymi oraz umożliwić szybszy powrót do pracy osób mających objawy grypopodobne, a nie związane z infekcją COVID-19.

„Zapewnienie ochrony dla personelu medycznego to w tej chwili jedno z największych wyzwań. Patrząc na skutki we Włoszech – to gigantyczne wyzwanie” – twierdzi wiceminister zdrowia Sławomir Gadomski.

Tymczasem sytuacja w placówkach medycznych jest dramatyczna. Szpitale stały się wylęgarnią zarazy. Zamknięto kilkadziesiąt szpitali (lub oddziałów szpitalnych), gdzie u pacjentów – leczonych z powodu innych dolegliwości niż COVID-19 – i personelu wykryto koronawirusa.

M.in. w Warszawie, Kaliszu, Białogardzie, Tarnobrzegu, Grodzisku Mazowieckim, Gdańsku (3 placówki), Oławie, Wrocławiu, Zgorzelcu, Oleśnicy, Cieszynie, Częstochowie, Blachowni, Chorzowie, Rybniku, Zawierciu, Opocznie, Grudziądzu, Wolicy, Zielonej Górze, Skarżysku-Kamiennej, Nowym Dworze Mazowieckim, Grójcu, Nowym Mieście, Krakowie.

Gdy pacjent nie zarazi się koronawirusem, istnieje duże ryzyko, że złapie inny syf. Najwyższa Izba Kontroli w raporcie na temat zakażeń w podmiotach leczniczych podaje, że każ-

dego roku w szpitalach 400 tysięcy hospitalizowanych ulega zakażeniom. Sytuacja pogarsza się z każdym rokiem. Choć szpitale przyjmują coraz mniej ludzi, to zakażeń przybywa.

Źródłem przenoszenia zakażeń są najczęściej brudne ręce personelu medycznego, niewyjaławiony sprzęt medyczny i niemedyczny, skażone otoczenie chorego, przyjmowanie pacjentów wymagających szczególnych warunków hospitalizacji bez możliwości ich zapewnienia, zatrudnianie osób nieprzygotowanych do pracy w szpitalach, niestosowanie obowiązujących procedur i standardów sanitarnych. Najczęstsze zakażenia dotyczą układu pokarmowego i oddechowego.

New Delhi nad Wisłą

Spustoszenie powoduje lekooporna bakteria Klebsiella pneumoniae New Delhi. Wywołuje zapalenie płuc i opon mózgowych, zakażenie krwi, układu moczowego i skóry oraz choroby wątroby. Śmiertelne żniwo zbiera sepsa. Według ostrożnych rachunków co roku w szpitalach dochodzi do co najmniej do 12 tys. zakażeń. Połowa z nich kończy się zgonem.

Trudno oszacować skalę problemu, bo placówki medyczne nie prowadzą rzetelnej dokumentacji na temat zakażeń. Wykonana przez NIK analiza kart rejestracji wykazała, że były one sporządzane niechlujnie, często z pominięciem wielu danych. Skontrolowano losowo prawie 700 kart. W 18 proc. z nich nie opisano czynników ryzyka, w 23 proc. nie podano zastosowanego leczenia antybiotykowego, w ponad 15 proc. nie odnotowano wykonania badania mikrobiologicznego, w 4 proc. nie określono postaci

klinicznej zakażenia, a w 3 proc. nie podano danych pacjenta. 246 kart lekarze wystawili z opóźnieniem sięgającym do 288 dni. W dwóch szpitalach w ogóle nie prowadzono kart rejestracji, co było niezgodne z ustawą o zwalczaniu zakażeń.

Konsekwencją nierzetelnego systemu monitorowania i raportowania o zakażeniach na poziomie szpitali był brak precyzyjnych danych o sytuacji epidemiologicznej kraju. Według danych Narodowego Funduszu Zdrowia, (w okresie objętym kontrolą przez NIK) liczba osób hospitalizowanych z powodu sepsy wyniosła 51 537, zaś według danych Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny – 2640. Tymczasem tylko w osiemnastu skontrolowanych szpitalach stwierdzono 937 zachorowań na sepsę, przy czym przypadki takie odnotowano w prawie 90 proc. szpitali. Czyli należy przypuszczać, że oficjalne statystyki są zaniżone i nie odpowiadają rzeczywistości.

Z danych zgromadzonych przez Centrum Systemów Informacyjnych Ochrony Zdrowia (CSIOZ) wynika, że więcej niż połowa szpitali nie odnotowała w sprawozdaniach informacji o liczbie pacjentów leczonych z powodu zakażenia wewnątrzszpitalnego i liczbie zgonów z tego powodu.

Mikrobiologa poznam od zaraz

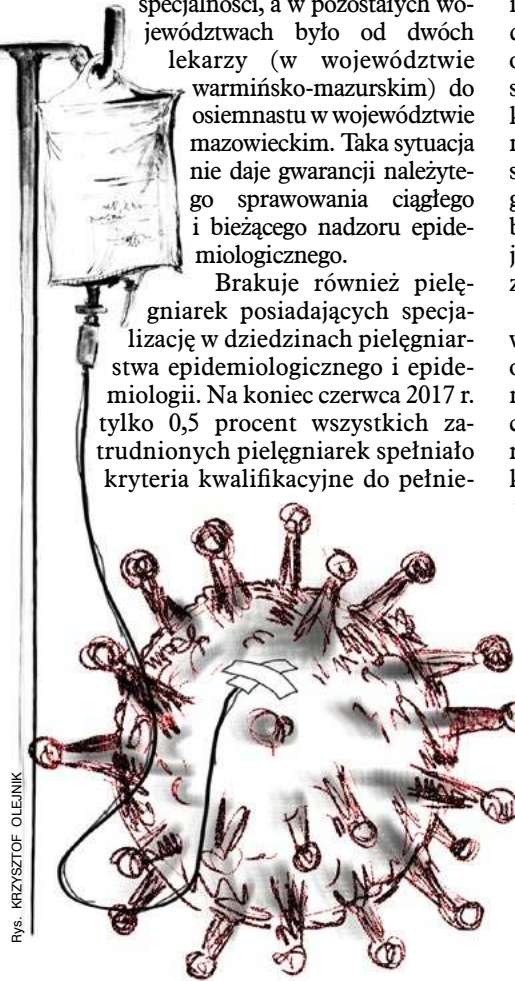
Nie ma specjalistycznej kadry. Np. w połowie 2017 r. czynnych zawodowo było tylko 110 leka-

rzy mikrobiologów oraz 219 epidemiologów.

Wśród krajów europejskich Polska zajmuje ostatnie miejsce pod względem liczby praktykujących lekarzy specjalistów w dziedzinach związanych z mikrobiologią i bakteriologią.

W czterech województwach – lubuskim, opolskim, podkarpackim i świętokrzyskim – w ogóle nie było lekarzy o tej specjalności, a w pozostałych województwach było od dwóch lekarzy (w województwie warmińsko-mazurskim) do osiemnastu w województwie mazowieckim. Taka sytuacja nie daje gwarancji należytego sprawowania ciągłego i bieżącego nadzoru epidemiologicznego.

Brakuje również pielęgniarek posiadających specjalizację w dziedzinach pielęgniarstwa epidemiologicznego i epidemiologii. Na koniec czerwca 2017 r. tylko 0,5 procent wszystkich zatrudnionych pielęgniarek spełniało kryteria kwalifikacyjne do pełnie-



nia funkcji pielęgniarki epidemiologicznej w Zespołach Kontroli Zakażeń Szpitalnych.

Jak gdyby tego wszystkiego było mało, w znikomym stopniu wykonuje się badania mikrobiologiczne mające na celu wczesne wykrycie zakażenia u pacjentów oraz ustalenie grup antybiotyków możliwych do wykorzystania podczas leczenia. W przeliczeniu na jedno łóżko szpitalne liczba takich badań jest 2 razy mniejsza niż w krajach Unii Europejskiej.

Bakterie lubią klimę

W prawie jednej trzeciej kontrolowanych szpitali nie dokonywano okresowych przeglądów instalacji i urządzeń zgodnie z zaleceniami producenta i wymaganą częstotliwością oraz nie dokumentowano czynności serwisowych. A nieczyszczona i niekonserwowana instalacja wentylacyjno-klimatyzacyjna szpitala może być siedliskiem bakterii (np. legionelli, gronkowca złocistego, pałeczki ropy błękitnej) oraz wielu drobnoustrojów wywołujących zakażenia u osób zwłaszcza o obniżonej odporności.

W połowie placówek medycznych w próbkach wody ciepłej stwierdzono obecność pałeczek legionelli na poziomie przekraczającym wartość dopuszczalną. Bakterie z rodzaju legionella rozwijają się m.in. w urządzeniach klimatyzacyjnych, nawilżających oraz w urządzeniach rozpylających wodę i są przyczyną chorób zakaźnych układu oddechowego.

Wszystkie te zaniedbania powodują ponoszenie potężnych kosztów. Co roku na leczenie chorych z zakażeniami szpitalnymi wydaje się 800 mln zł. Do tego dochodzą koszty pośrednie, z których najbardziej dotkliwe to przedwczesne zgony.

Kaczyński i spółka powinni się modlić, żeby koronawirus nie dobił konającej służby zdrowia, lekarzy i pacjentów.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

POKAZUJĘ I OBJAŚNIAM

Wszyscy żyjemy od kilku tygodni w nowym świecie. Świecie pandemii. Pewne procedury są już znane każdemu i raczej nie budzą dyskusji. Np. rozumiemy, że z powodu koronawirusa zamyka się całe instytucje, biura, nawet szpitale, tylko dlatego że przebywała tam osoba zarażona. Wystarczy jeden nosiciel zarazy, żeby zamknąć na czas kwarantanny szpital, komendę policji albo urząd i skierować na długotrwałą izolację cały personel tej instytucji. Traktujemy to jako konieczność. Przykra, dolegliwa, uciążliwa, ale konieczność.

• • •

Jak wyłączyć Sejm na co najmniej 2 tygodnie? Uruchomcie wyobraźnię. Załóżmy, że na zwykłym posiedzeniu Sejmu na sali plenarnej pojawia się poseł/posłanka zarażony/a COVID-19. Dla utrudnienia – pacjent bezobjawowy, zatem mierzenie temperatury na wejściu do budynku nic nie daje. Wkrótce po posiedzeniu (maksymalnie kilkanaście dni) okazuje się, że poseł był chodzącą bronią biologiczną. Nieuchronna procedura jest taka jak w każdej innej instytucji: kwarantanna. Dla 460 posłów (jeśli wszyscy byłiby na feralnym posiedzeniu) i dla blisko tysiąca pracowników Kancelarii Sejmu. Sejm sparaliżowany.

Wyobraźmy sobie nagłówki w gazetach i pierwsze newsy w wiadomościach: „Sejm nie może się zebrać, a Polacy czekają na pomoc”, „Paraliż państwa. Można było to przewidzieć”, „Bezmyślni jak Polacy. Sejm zarażony na własne życzenie”, „Polacy umierają. Nie ma komu uchwalić prawa”. Itd., itp.

Posłowie do Parlamentu głosują przez internet, takie rozwiązania przyjęła większość parlamentów w zarażonych krajach. Nie ma w tym nic dziwnego. Nie ma też nic diabelskiego w używaniu w XXI w. tabletu, komputera i internetu.

Wyłączenie Sejmu na kilka tygodni zapewne nie spowodowałoby żadnej turbokatastrofy, ale na pewno dałoby pożywkę do populistycznych wypowiedzi kwestionujących coraz słabszy demokratyczny porządek.

• • •

Zawsze byłem entuzjastą nowoczesnych rozwiązań. Jeszcze w poprzedniej kadencji Sejmu dyskutowaliśmy o powszechnym głosowaniu obywateli przez internet. To na razie odległa

Na wstrzymanie

Lewica rzekomo zdradziła i z PiS-em demokrację obaliła – mity i manipulacje internetowych hejterów.

przyszłość, ale jakże pociągająca z punktu widzenia powszechnego uczestnictwa w rządzeniu państwem.

Jednak mimo to wstrzymałem się przy głosowaniu „za” tą z gruntu racjonalną zmianą regulaminu, umożliwiającą głosowanie przez internet. Dlaczego?

Po pierwsze uważnie wsłuchiwałem się w głosy konstytucjonalistów, którzy podnosili, iż zmiana taka może być sprzeczna z konstytucją. Są też tacy prawnicy, którzy uważają, że zmiana ta konstytucji nie narusza. Ale wątpliwości się pojawiły i nie zostały jednoznacznie rozwiane.

Po drugie – i chyba najważniejsze –

nie ufam PiS-owi. To partia, która wielokrotnie wcześniej łamała prawo i krzywdziła obywateli. Może jest to moja obsesja, ale mając doświadczenia bezmiaru krzywd, jakie wywołała tylko jedna pisowska ustawa represyjna (tzw. dezubekizacyjna), nie mogę w niczym, co budzi jakiegokolwiek wątpliwości, PiS-u popierać.

• • •

Większość klubu Lewicy nie miała tych wątpliwości. Posłanki i posłowie zagłosowali za możliwością zdalnego głosowania w czasie epidemii i stanów wyjątkowych, z ograniczeniem czasowym do końca czerwca 2020 r. Rozumiem tę decyzję.

Na Lewicę spadła fala krytyki. Obarcza się nas każdym przegranym przez opozycję głosowaniem. Mimo iż wszyscy wiedzą, że PiS ma w Sejmie większość od 4,5 roku. I nie przegra-

ło jeszcze ani jednego głosowania od listopada 2015 r. Gdy jednak uważniej wsłuchać się w te głosy, włosy stają dęba. Niesamowite jest to, co tak naprawdę mówią przeciwnicy Lewicy.

Oni uważają, że daliśmy ciała, bo korzystając z choroby/śmierci pisowców, można było być takim megasprytkiem, żeby podstępnie przegłosować ich w Sejmie! Powielają to kolejni internauci, kompletnie nie zadając sobie pytania, co tak naprawdę proponują. Pomijając stronę etyczną (żerowanie na chorobie/śmierci), ten „misterny” plan powstał chyba na naradzie przedszkolaków. Podpowiadam hejtującym Lewicę:

1. Wirus atakuje zarówno opozycję, jak i PiS. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, kogo powali szybciej i w jakiej liczbie.

2. Głosowania zarządza marszałek. Gdy PiS nie ma większości, zarządza natychmiast przerwę, która trwa aż do uzupełnienia braków. Tak było, jest i będzie. I nie jest to fortel wymyślony przez geniusza Kaczyńskiego, tylko patent znany od stuleci.

Pojawia się jeszcze jeden skrajnie populistyczny argument – skoro mogą pracować kasjerki w Biedronce, to posłowie tym bardziej powinni iść do Sejmu i tam głosować. Faktycznie, jest wiele zawodów, których nie da się wykonywać online. Ale są takie, które to umożliwiają. Np. nikt rozsądny nie kwestionuje zamknięcia szkół i prowadzenia lekcji przez internet. Idąc logiką internetowych hejterów, nie tylko posłowie, solidaryzując się z umowną kasjerką z Biedronki, powinni iść do pracy w realu, ale również nauczyciele i inni pracujący zdalnie. Solidarnie pozarządzamy się nawzajem!

• • •

Nie wiem, jak będzie w przyszłości działał system głosowania online. Obserwuję jego działanie z nieufnością, o której pisałem wyżej. Sprawdzam każde głosowanie. Na razie, po blisko dziesięćdziesięciu głosowaniach, widąc, że oddawanie głosu online nie narusza w żaden sposób proporcji, o których zdecydowali w wy-

borach obywatele. Zarówno PiS, jak i opozycja głosują praktycznie w całości. Brakuje dosłownie jednostek. Każde głosowanie jest imienne, zapisane w systemie i dostępne dla każdego ciekawego na stronie internetowej Sejmu. Nie było dotychczas żadnego protestu podnoszącego, że jakieś głosowanie zostało przegrane przez opozycję w wyniku oszukiwania w tym systemie.

• • •

Osobną sprawą jest bezpieczeństwo systemu. W jakim stopniu jest on narażony na ataki hackerskie? Nie wiadomo. Dlatego Lewica postulowała, żeby system uzyskał wstępny certyfikat Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. PiS tę poprawkę wyrzuciło do kosza.

Na koniec warto się dogłębnie zastanowić, jak to było w czasach przed zarazą. Procedura wyglądała następująco:

Poseł mógł oddać głos po uprzednim włożeniu legitymacji poselskiej z elektronicznym chipem do dowolnego czytnika w sali plenarnej. Czytnika elektronicznego. Następnie głosy te zliczał system. System komputerowy. W pełni kontrolowany przez informatyków pracujących na etatach w Kancelarii Sejmu. Kancelarią Sejmu od 4,5 roku niepodzielnie włada PiS. Zatem gdyby ktoś chciał – na chłama – przeprowadzić oszustwo polegające na manipulacji głosami oddanymi zdalnie, mógł to zrobić tak w czasach poprzedzających zarazę, jak może i teraz. To kwestia zatrudnienia posłusznych informatyków, a następnie wydania im odpowiedniej dyspozycji. Oczywiście oszustwo takie natychmiast zostanie wykryte, bo – jak wcześniej pisałem – każde głosowanie jest imienne i jego wynik widać od razu na stronie Sejmu.

Pozdrawiam (jakie adekwatne w tych czasach słowo) wszystkich i życzę chłodnej głowy. Rozpalone rozumy są znacznie bardziej podatne na manipulację i wirus. Wirus nienawiści.

ANDRZEJ ROZENEK



Baza ludzi umarłych

Do Tomasza Więclawskiego* z Warszawy 17 marca zadzwonił policjant z Opola. Zapytał, czy jest w domu, a jeśli tak, to żeby mu pomachał ręką przez okno. Mężczyzna wyjaśnił, że nie może spełnić prośby, gdyż jest akurat w pracy. Mało nie dostał zawału, gdy usłyszał, że złamał prawo, bo jako objęty kwarantanną powinien siedzieć w chałupie na czterech literach. Panu Tomaszowi zajęło chwilę wyjaśnienie, że to pomyłka, numer telefonu się zgadza, ale nazwisko nie. Policjant przeprosił za zamieszanie.

Przez kolejne dwa dni do Więclawskiego znowu dzwonił policjant z Opola z prośbą, aby pomachał im przez okno. Po kolejnym telefonie pan Tomasz zameldował policjantom z Warszawy, że jest nękany przez ich kolegów po fachu.

Kilka dni później do Więclawskiego zadzwonił z przeprosinami policjant z Opola. Powiedział, że nie może wykreślić jego numeru telefonu z bazy osób objętych kwarantanną. Trzeba załatwić to w sanepidzie. Sam jednak tego nie zrobił. W sanepidzie pracownicy rozłożyli beznadziejnie ręce. Bazą władza Centrum Zarządzania Kryzysowego w Urzędzie Wojewódzkim w Opolu. Od urzędnika wojewody pan Tomasz usłyszał, że ma kontaktować się z NFZ. W NFZ powiedziano, że listą administruje Główny Inspektor Sanitarny, który nie odbiera telefonu (Więclawski dzwonił 60 razy).

Od 20 marca Więclawski bombardowany jest w dzień i w nocy SMS-ami z komunikatem „kwarantanna” i informacją, aby ściągnął aplikację, która ułatwi jego lokalizację. Można oszaleć. Policjant pocieszył go, że nie jest jedyny i miał już z 50 podobnych przypadków, co znaczna, że wiele z ponad 100 tysięcy osób objętych kwarantanną znajduje się pod fikcyjną kontrolą państwa. Ministerstwo Cyfryzacji twierdzi, że „nie ma możliwości, by z aplikacji korzystały osoby nieobjęte kwarantanną. Jej system jest połączony z bazą numerów telefonów osób, które zostały zobowiązane do przejścia kwarantanny”.

Terefere.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

*Imię i nazwisko zmienione.

Prywatyzacja szkół

Zyski z zarazy.

Minister edukacji narodowej Dariusz Piontkowski nakazał, że od 25 marca zajęcia szkolne mają się odbywać w systemie cyfrowym. Minister chyba nie wie, że czegoś takiego nie ma.

Najwięcej komunikatów dla mediów od czterech lat wydaje Ministerstwo Cyfryzacji. Codziennie jego biuro prasowe trąbi o kolejnym sukcesie na drodze do totalnej informatyzacji Polski. Dzięki internetowi można rozliczać podatki, załatwiać mnóstwo spraw w urzędzie i lichy wie, co jeszcze. Potęga cyfrowa państwa kończy się jednak tam, gdzie zaczyna się edukacja.

Uczeń na smyczy elektronicznego dziennika

Wszystko bierze się z grzechu pierwotnego polskiego szkolnictwa, czyli rozpięciu kompetencji. Niby edukacją zawiaduje Ministerstwo Edukacji Narodowej, niby są podporządkowane mu kuratoria oświaty, ale gdy przychodzi co do czego, okazuje się, że szkoły są nie państwowe, ale samorządowe, i to burmistrzowie, wójtowie i prezydenci rządzą. A ponieważ jesteśmy w Polsce, to na dokładkę mamy – w tych nie wiadomo czyich szkołach – autonomiczny byt o nazwie Kościół katolicki wyznaczający niektórych nauczycieli.

Burdel kompetencyjny od początku powodował, że pies z kulawą nogą nie myślał o tym, żeby w Polsce wykombinować jedną ogólnopolską platformę edukacyjną. Taką, która łączyłaby rodziców, nauczycieli, uczniów, kuratoria i MEN. Władzy nie było to do niczego potrzebne.

Przydało się drobnym biznesmenom, którzy poczulili kasę nosem. Wymyślili, że tym, czego najbardziej brakuje rodzicowi ucznia, jest kontrola ocen. Oraz wiedza, czy przypadkiem uczeń nie wagaruje. Akwizytorzy firm zaczęli odwiedzać dyrekcje szkół, zgłaszając – jak to w szkołach – dyrektorom i nauczycielom propozycje nie do odrzucenia. Za nieewidencjonowaną nigdzie wysoką prowizję belfrzy mieli namówić rodziców do wejścia w dziennik elektroniczny. Ci namawiać się dawali szybko. Dzienniki elektroniczne zaczęły funkcjonować w każdej szkole. Roczny dostęp do śledzenia postępów latorośli kosztował rodzica ok. 25 zł.

Pionier e-dzienników, katowicka firma Librus, chwaliła się, że jeśli w roku 2008 jej przychody wyniosły 5 mln zł, to rok później przekroczyły 10 mln.

Rodzic jako grupa docelowa

Do Librusa doskakiwały inne firmy prywatne. Na rodzicach uczniów tuczyli się przedsiębiorcy. MEN nie dokładał do wchodzenia szkół w wiek XXI ani złotówki. Resortu to nie interesowało. W 2009 r. ministerstwo dało zgodę, żeby w szkołach mogły działać zarówno dzienniki papierowe, jak i elektroniczne. Rok później doprecyzowano, że jeśli jakaś szkoła chce się posługiwać tylko zapisem komputerowym, to musi o tym zawiadomić organ założycielski, czyli samorząd. Samorząd zgłoszenie przyjmował i nie będąc zobowiązany do zrobienia z tą informacją czegokolwiek, stawał się jej depozytariuszem. Ten stan utrzymuje się do dziś. MEN nie ma pojęcia o tym, jakim e-dziennikiem posługują się poszczególne szkoły ani ile firm działa w edukacji.

Nie wie też, że dzienniki się rozbudowały. Oprócz ocen i frekwencji umożliwiają kon-

takt między poszczególnymi nauczycielami, uczniami i rodzicami, pisanie usprawiedliwień czy indywidualnych zjebek belfrów na zachowanie tego czy innego ucznia.

To nie MEN spowodowało, że od kilku lat e-dzienniki stały się bezpłatne. Załatwił to rynek. Niektórych małych programistów wykupywały wydawnictwa edukacyjne. Nie żądały już od rodziców opłat. Zły przecież ze sprzedaży podręczników, reklamowały się więc w grupie absolutnie docelowej.

W 2015 r. Librusa, 5 lat wcześniej sprzedanego przez pierwszych właścicieli funduszowi inwestycyjnemu, wykupił Public Consulting Group z Bostonu. Nie wprowadził spółki na giełdę ani nawet nie przemianował jej na przejrzystą formę działalności, czyli spółkę akcyjną. Librus wciąż pozostaje komandytową spółką z o.o. Podobnie kilkanaście innych firm robiących szkołom e-dzienniki. I to na nie spadło rozporządzenie Piontkowskiego o nauczaniu przez internet. Innej drogi kontaktu szkoły z uczniem za pomocą sieci przecież nie ma.

Minister edukacji z Doliny Krzemowej

Pierwszego dnia e-szkoly to wszystko wyleciało w powietrze. Systemy nie były gotowe na podłączenie się do nich milionów użytkowników. Ale z dnia na dzień informatycy dali sobie radę. Oczywiście przy żadnym wsparciu MEN.

Ruszyły lekcje internetowe. Na e-dziennikach nauczyciele każą uczniom przeczytać to a to w podręcznikach i zadają prace domowe. Uczniowie je odrabiają, rozwiązaniom robią zdjęcia prywatnymi komórkami i przesyłają na prywatne maile państwowych nauczycieli. Co cwańsi belfrzy korzystają z usług amerykańskiej firmy Facebook.

Tworzą tam dla danych klas grupy i pracują wspólnie. Jeszcze inni pracownicy polskiej edukacji korzystają z amerykańskich wynalazków umożliwiających przesyłanie w sieci obrazu, czyli z ZOOM-a i Skype'a. Niektórzy nauczyciele każą oglądać zamieszczane na YouTube

filmiki. Najmniej kumaci w sieci zapisują wykłady w e-dziennikach.

Dzięki firmom z Kalifornii i pomysłowemu spółkom z Polski działa to jako tako. A ponieważ działa, to jest sukces. Właśnie pojawili się kolejni jego ojcowie.

Samorządy informują, że ruszyły ze stronami internetowymi, na których są filmy edukacyjne. Urzędnicy MEN reklamują strony z podręcznikami, na które nikt nigdy nie wchodził. I słusznie, bo gdy próbuje się tam wejść, to i tak się nie udaje. Dyrektorzy szkół dostali co prawda w rozporządzeniu niemal nakaz, żeby ze strony Epodreczniki.pl kazać nauczycielom korzystać, ale spośród kilkunastu obdzwonionych belfrów żaden nawet nie próbował.

Największym jednak kretynizmem, którym w kontekście e-szkoly popisało się MEN, jest informacja, że

od 1 kwietnia samorządy mogą ubiegać się o pieniądze na zakup sprzętu do zdalnej nauki dla uczniów i nauczycieli. Do rozdysponowania resort ma 180 mln zł. Idiotom z ministerstwa nie wpadło do głowy, że ta kasa szkołom przyda się jak respirator zwłokom. Nauczyciele pracują z domu. Z własnych laptopów, komórek, opłaconych przez siebie łączy internetowych i z wykorzystaniem oprogramowania zorganizowanego dzięki własnej inwencji.

Nikt z ministerstwa czy kuratorium ich tego nie nauczył. Wpadli na to sami. I mając głęboko w dupie pana ministra, woleliby, żeby za te 180 baniek kupić szpitalom trochę kombinizonów, maseczek i rękawiczek.

TADEUSZ JASIŃSKI

REBUS 1



W ostatnich dniach marca firmy transportowe postawiły na parkingach nawet połowę floty. Nie było to spowodowane ani brakiem ładunków, ani epidemią wśród kierowców, ale prozaicznym brakiem pieniędzy na zatankowanie aut.

...

System rozliczeń w polskim transporcie jest chyba najbardziej patologiczny w Europie. Skonstruowany został w ten sposób, że duże firmy handlowe albo producenci zawierają umowy z wielkimi korporacjami, które pośredniczą w wymianie informacji o ładunkach. Producent zleca korporacji przewóz ładunku, a korporacja – zwana spedytorem – wyszukuje właścicieli ciężarówek i zleca im konkretne przewozy.

Po wykonanej pracy przewoźnik wysyła do spedytora fakturę z listem przewozowym i czeka na pieniądze. Choć polskie ustawy zabraniają wydłużania terminu płatności ponad 30 dni, to w polskiej branży transportowej normą jest, że terminy wynoszą 60, a nawet 90 dni. Spedytorzy są bezkarni. Jeśli ktoś się zbuntuje, to nie dostanie pracy.

Tych terminów i tak najczęściej spedytorzy nie dotrzymują; powszechne jest, że opóźniają płatności jeszcze bardziej – o 2 tygodnie, a nawet o kolejny miesiąc.

Na tej patologii żerują producenci i duże firmy handlowe. Te z kolei płacą w terminie za prąd, gaz czy czynsz dzierżawny, ale do wyjątków należy, żeby w terminie płaciły za transport. Przez tę chorą sytuację przewoźnicy mają zamrożone pieniądze za okres dwóch–trzech miesięcy pracy. I nie mają rezerwy.

...

Jaki jest tego skutek, okazało się właśnie teraz. Gdy premier Mateusz Morawiecki w pierwszych dniach marca zamknął wielkie galerie handlowe, a duże zakłady pracy również przerwały działalność, nagle wiele innych firm przestało płacić rachunki. I nie dotyczy to tylko tych, o których opinia publiczna słyszy najczęściej, czyli fryzjerów, kosmetyczek bądź restauratorów. Zobowiązania przestały

Morawiecki nie leje



Za chwilę może zabraknąć żywności, mydła, paliwa i leków. Wszystkiego.

dla przewoźników. Jeśli oni wkrótce zaczną bankrutować, to takie odroczenie płatności nie im nie da.

...

Arytmetyka wygląda następująco. Jeden kierowca zarabia 5 do 7 tys. zł brutto. Do tego trzeba doliczyć ZUS. To powoduje, że pełny koszt zatrudnienia jednego kierowcy wynosi do 10 tys. zł.

Drugie tyle trzeba zapłacić za fakt posiadania ciężarówki. Na tę kwotę składają się raty leasingu, podatki od środków transportu i jeszcze kilka opłat, które wymyślił Morawiecki. Robi się już 20 tys. zł. Do tego należy doliczyć nawet 80 tys. miesięcznie na paliwo. A następnie myto, czyli opłaty za przejazd drogami. To znaczy, że aby przewoźnik mógł funkcjonować, musi mieć obrót sięgający 100 tys. zł, żeby wyjść na zero. Czyli zapłacić kierowcom i bankom.

W pakiecie antykrzysowym firmy o takim obrocie traktowane są jako te, które nie potrzebują wsparcia. To znaczy, że

ktos piszący projekt pakietu antykrzysowego pozbawiony był jakiegokolwiek wiedzy na temat działania gospodarki w Polsce. Być może był to teoretyk bez wiedzy praktycznej o tym, jak funkcjonuje świat biznesu.

Cały pakiet antykrzysowy rząd może sobie schować tam, gdzie słońce nie dociera. Transport jest krwiobiegiem gospodarki. Jeśli za chwilę firmy transportowe nie będą miały ciężarówek, to gospodarka się nie odrodzi.

Ale jest pilniejszy problem. Na razie w sklepach jest wszystko. To „wszystko” zostało do sklepów dowożone samochodami. Samochodami, które teraz stoją i rdzewieją.

MATEUSZ CIEŚLAK
mcieslak@redakcja.nie.com.pl

Odpady ludzi na kwarantannie to takie same odpady jak każde inne. Tak uważa państwo, patrz ustawa z 2 marca 2020 r. o szczególnych rozwiązaniach związanych z przebiegiem, przeciwdziałaniem i zwalczaniem COVID-19, innych chorób zakaźnych oraz wywołanych nimi sytuacji kryzysowych. Także rozporządzenie ministra zdrowia z 13 marca 2020 r. w sprawie ogłoszenia stanu zagrożenia epidemicznego nie pozwala na czasowe zawieszenie przepisów obowiązującej ustawy o czystości i porządku w gminach. Czytaj: śmieci dzielimy na odpady organiczne, plastik, papier, szkło. Po każdym rodzaju śmieci przyjeżdża inny samochód.

Mówiąc krótko: tak samo jak do tej pory pudełka po pizzy, nieważne, że zżartej przez osobę pozostającą w kwarantannie, najpierw bierze w łapę pracownik firmy odbierającej śmieci, potem trafiają na taśmę sortowni, nad którą warują ludzie.

W ocenie rządzących jest to bezpieczne, bo, jak wiadomo, wirus przenosi się drogą kropelkową. Czyli ktoś powinien na kogoś nakichać, żeby ten się zaraził. Niby można zarazić się przez dotknięcie wyschniętych płuc, ale jeśli chodzi o śmieci, jest to mało realne. One są zbierane długo, a wirus żyje krótko.

Wirus kisi się w garażu

Zwyczajnie COVID-19 nie są jasne. Jednak z dostępnych badań wynika, że wirus żyje np. na tekturze do 24 godzin. Do 72 godzin na plastiku i stali nierdzewnej.

Z najnowszych doniesień amerykańskich ekspertów wiemy, że jest w stanie przetrwać nawet 17 dni. Tak długo utrzymywał się na statku „Diamond Princess” po ewakuacji ostatniego pasażera.

Znajomi przebywający w kwarantannie mają więc wątpliwości, czy nie zagrażają zdrowiu publicznemu, wystawiając odpady za furtkę w dniu ich odbioru? Konkretnie – godzinę wcześniej.

Na ich willowym osiedlu śmieci są zabierane raz na 2 tygodnie, zatem w ostatniej chwili starają się oddać, co mają, żeby nie kisiło się w garażu. Jeszcze gorzej mają ludzie mieszkający w blokach. Sąsiedzi nie patrzą krzywo, bo nie

splacać również duże korporacje. To spowodowało natychmiastowe wyschnięcie strumyczka pieniędzy do przewoźników. I zaczął się problem.

Wielka ciężarówka tankuje do zbiornika od 800 do 1200 l paliwa. To wystarczy jej na jeden do dwóch dni pracy. Mądre rządy III RP zlikwidowały praktycznie towarowy transport kolejowy. Nawet węgiel opłaca się wozić ciężarówkami. Dostawa towarów w Polsce odbywa się głównie nimi.

Ciężarówki tankują mniej więcej trzy do czterech razy w tygodniu. Jedno tankowanie to koszt ok. 6 tys. zł. Czyli na tydzień kierowca lub właściciel ciężarówki potrzebuje blisko 20 tys. zł.

Ze względu na opisaną wcześniej patologię firmy transportowe mają zapas pieniędzy na tydzień pracy. Gdy na początku marca płatności praktycznie zamarły, po niecałych dwóch tygodniach większość firm transportowych stanęła przed widmem braku pieniędzy na tankowanie. Tak się bowiem składa, że stacje paliw nie dają na kreskę. Jak mówią kierowcy: „**Jak się nie ma miedzi, to się na dupie**

siedzi”.

W ostatnim tygodniu marca stanęła więc połowa wszystkich ciężarówek jeżdżących po Polsce. Z dnia na dzień sytuacja będzie się pogarszać, bo pieniędzy nie ma i nie będzie.

...

Do rządowej tarczy antykrzysowej Senat dopisał 1800 poprawek. Ludzie zajmujący się wożeniem towarów twierdzą, że nie ma wśród nich ani jednej dotyczącej transportu samochodowego. Wcześniej rząd i Sejm również zapomnieli o tym, że żywność nie rośnie na grządkach obok sklepów, tylko trzeba ją przywieźć. Podobnie jak inne towary, w tym paliwo. Ono również musi być przez kogoś dostarczone na stacje.

Dlaczego w tarczy antykrzysowej pominięte są firmy transportowe? Większość z nich nie kwalifikuje się do otrzymania pomocy. Mają one bowiem ogromne obroty. A przynajmniej dotychczas miały. Ciężarówki kosztują mnóstwo pieniędzy i koszt

ich używania również jest olbrzymi. Obroty są więc ogromne, mimo że poziom zyskowności wynosi 1 do 2 proc. Firmy te więc nie mają żadnego zaplecza finansowego i żyją z tygodnia na tydzień. Mają olbrzymie zobowiązania wobec banków czy firm leasingowych, a jednocześnie nie kwalifikują się do objęcia ich ochroną w ramach rządowej tarczy antykrzysowej.

Premier Morawiecki wołał wydać (jak obliczają niektórzy) 76 mld zł na pomoc dla banków zamiast zapewnić przewoźnikom środki na paliwo. Być może wystarczyłyby na razie same gwarancje.

W tym kontekście inaczej należy spojrzeć na rzekomą ochronę firm transportowych przed zagrożeniem ze strony firm leasingowych. Praktycznie wszystkie średnie firmy transportowe w Polsce używają nowych ciężarówek będących w leasingu. Przewoźnicy mają być zwolnieni na 1,5 roku z płacenia rat leasingowych. Ten obowiązek przejąć ma na siebie agencja rządowa. To prezent dla banków i firm sektora finansowego, a nie

Ludzie i śmieci w jednym stali domu



widzą, że wynoszą śmieci w nocy. Jednak czy to bezpieczne?

Odpady zarażone

Unia Metropolii Polskich przeprowadziła sondę na temat tego, jak miasta odbierają odpady z miejsc kwarantanny.

Bydgoszcz spełniła śmieciarski sen. „Zgodnie z instrukcją przekazaną przez wojewodę kujawsko-pomorskiego odpady z miejsc kwarantanny mają być odbierane bezpośrednio z miejsc ich powstawania, opakowane w podwójne worki i oznaczone napisem kwarantanna. Odbiór odbywa się w umówionych indywidualnie terminach bezpośrednio spod drzwi mieszkań, głównie w nocy. Odpady trafiają bezpośrednio na spalarnię”.

Gdańsk. „Odbiór odpadów komunalnych odbywa się bez mian”.

Lublin. „Na razie żadna z firm świadczących usługi (...) nie wyraziła zgody na odbiór odpadów bezpośrednio z miejsca izolacji (spod drzwi mieszkań) osoby poddanej kwarantannie”.

Łódź. „Odpady od osób objętych kwarantanną trafiają do pergol w ramach pomocy sąsiedzkiej. Odpady od osób, które znajdują się w fazie objawowej (zamiast w szpitalach pozostają w swoich mieszkaniach) odbierane są spod drzwi mieszkań przez specjalnie utworzoną do tego celu brygadę”.

Szczecin. Odpadów spod drzwi osób w kwarantannie nie odbiera firma, z którą miasto ma umowę, „żeby nie zwiększać ryzyka”. Na razie wystarcza samopomoc sąsiedzka.

Warszawa. „Zgodnie z pismem Głównego Inspektora Sanitarnego odpady z wszystkich nieruchomości traktowane są jako zwykły strumień odpadów komunalnych”.

Wrocław. „Odpady od osób objętych kwarantanną odbywają się na zasadach pomocy sąsiedzkiej. Odpady od osób chorych odbierane będą przez firmę wyspecjalizowaną w odbiorach materiałów medycznych/niebezpiecznych i kierowane prosto do spalarni”.

Wszystko do spalarni

Prezes Walenty Pacewicz z „Lecha”, Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania z Białegostoku: – Nasi pracownicy w pierwszej linii poza obsługą medyczną, mają większe prawdopodobieństwo zarażenia się wirusem...

Prezes Mirosław Ruchtarewicz ze spółki „Koma” z Białystoku: – Dynamiczny wzrost zachorowań, absencja pracowników związana z obawą przed koronawirusem będzie zmuszać do organizacji pracy w ograniczonym zakresie...

Prezes Marianna Marczyk z firmy „Błysk”, też Białystok: – Zwracamy się z prośbą o zmianę sposobu odbioru różnych frakcji odpadów na czas trwania stanu epidemicznego...

Realia: pracownicy mający małe dzieci poszli na opiekę, niektórzy na L4, niektórzy przebywają na kwarantannie, są tacy, którzy nie przestali stawiać się w robocie.

Wnioski: zawiesić zbiórkę selektywną. Niech wszystkie śmieci zabiera jeden samochód. Śmieci od osób będących w kwarantannie bądź chorych powinny kończyć w spalarni.

13 marca 2020 r. zrzeszający 100 firm Klaster Gospodarki Odpadowej i Recyklingu zażądał od Michała Kurtyki, ministra klimatu, zmiany przepisów – tak, aby było możliwe składowanie bądź spalanie wszystkich śmieci „w bezpieczny sposób przy możliwie jak najmniejszym udziale ludzi”.

18 marca 2020 r. prezydent Białegostoku Ryszard Truskolaski poprosił ministra, aby ruszył nogą w bucie, zanim mleko się rozleje, śmieciarze zarażą się albo odmówią wykonywania obowiązków, emigrując na L4. To było 18 marca 2020 r.

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

TRYBUN@
LUDZI

**Chcecie coś
Kaczyńskiemu
przekazać
korespondencyjnie?**

Facebook

Koronawirus: Możecie mnie spakować i wysłać do Jarka. Poświęcę się.

Jestem z Sosnowca: Chciałbym, aby Pan Kaczyński zaapelował do wszystkich, którzy są prawdziwymi patriotami i są gotowi oddać życie za ojczyznę, że 10.05 to jest ich czas i chwila prawdy.

Paweł Walczak: Poduszkę elektryczną, żeby miał ciepło pod pierzynką w stanie wyjątkowym.

Dariusz Chmielewski: To, co chciałbym przekazać Panu Prezesowi, kwalifikuje się jako groźby karalne oraz nawoływanie do nienawiści. Odpuszczę sobie.

Filip Tytus Wojtasiewicz: A ja chciałbym przekazać prezesowi korespondencyjnie szczere, najlepsze życzenia z okazji 10 kwietnia.

Tomasz Browarny: 1. Czapkę uszanke; 2. Bilet kolejowy do Nowosybirsk; 3. „500 plus” rubli na dobry początek.

Marcin Slowik: Jak żyć, Panie Prezesie, Premierze i Prezydencie w Trójcy Przenajświętszej.

Artur Paszkowiak: Płytę z filmem „Upadek”, żeby zobaczył w swoim bunkrze, co go czeka...

Paweł Ukrainiński: Szanowny Panie Prezesie, czy może Pan nakazać Prezydentowi Anżejowi, żeby nagrywał coś częściej na TikToka?

Karol Mackiewicz: No, ja chcę, tylko powycinam litery z gazety.

Michał Gajda: Trzy słowa do ojca prowadzącego...

Edward Zelazny: Próbkę kału w stoiku po korniszonach.

Dawid Szot: Szanowny Panie Prezesie, siedząc w samochodzie, widzi Pan całą jezdnię czy tylko niebo i znaki? A może też znaki na niebie?

Jan Paweł Woronicz: Niech mnie korespondencyjnie pocałuje w nos!

Bartosz Majer: „Oddawaj Księżyc!”.

Nico Jacobsen: Ja mam pytanie, czy w samochodzie także muszę zachować odległość dwóch metrów od mojej partnerki. Mam tico, mierzyłem dziś rano i niestety dystans ten jest nieosiągalny. Co mam zarobić? Proszę o radę.

Forum

Komandor: Znak pokoju, ale osobiście.

Oska QqRydz-QqC: Nie. W życiu! Nie narażę zdrowia listonosza w czasach zarazy.

Szczwacz: Butelkę mocno wstrząsnętego, ciepłego szampana. Per rectum.

BOG: Internet można by mu było wysłać, bo się chłop w izolacji nudzi i wymyśla jakieś wybory.

Wezry: Wszystkie głosy przestać na jego adres domowy. Niech liczy na balkon.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE” i Facebooka.



Dialogi dam w drodze do kościoła

Wołk-Łaniewska: – Już to przeżyłam. W zasadzie nie można wychodzić, ale do kościoła można, z tym że w kościele może być maks 5 owiec plus pasterz. Jak więc cię policja zaczepi w dowolnie wybranym punkcie miasta, zawsze możesz powiedzieć, że szukasz mszy, na której byłyby tylko 4 osoby. Bo po prostu musisz przyjąć ciało Chrystusa i zgodnie z konstytucją nikt ci nie może tego zabronić.

Daniszewska: – Chciałabym to zobaczyć.

– Jak przyjmuję?

– Nie, jak mówisz policjantowi o nieodpartym parciu do ciała. Tylko nie zapomnij dodać, że chodzi o ciało Chrystusa, bo jak zaczniesz coś chrzącić o ciele generalnie i o tym, jak bardzo go pragniesz, to możesz zostać źle zrozumiana.

– W moim wieku potraktowałabym to jako komplement. Internet się zresztą zastanawia nad legalnością interwencji policyjnych: czy jeśli wyjdiesz na ulicę i zatrzymasz cię dwóch policjantów, to jest już nielegalne zgromadzenie, czy można podciągnąć pod spacer z psami?

– Ja mam to w dupie, mogę nie wychodzić. Zajmę się urządzaniem ogrodu na tarasie, akurat jest pora. W zeszłym roku sadziłam karłowate jabłonki, śliwy i wiśnie w donicach, teraz dosadzę se jeszcze...

– Baobaba?

– Dlaczego akurat baobaba?

– Bo karłowaty baobab wydaje mi się znakomitą pomysł. Takim – jak to ująć – paradoksalnym.

– Jak mi podarujesz karłowatego baobaba, to go z chęcią posadzę. Poza tym hoduję ląkę.

– A to nie jest tak, że ląka się sama hoduje? Czy to nie jest jej zasadniczą funkcją?

– Jest. Ale musiałam jej zrobić miejsce, rezygnując z trawników. Zaczęło się od tego, że zauważyłam, że nie-

Nigdzie z tobą nie idę, przecież mówią, żeby zostać w domu – powiedziała **GOŚKA DANISZEWSKA** do **AGNIESZKI WOŁK-ŁANIEWSKIEJ**. No coś ty, do kościoła można – odpowiedziała Wołk-Łaniewska jak zwykle niefrasobliwie.

nawidzę warkotu kosiarek, a potem zachwyciły mnie chwasty. Teraz jestem zaprzysięgłym wrogiem trawników, zwłaszcza wymanikiurowanych. A dookoła same takie. Jeżdżę sobie na rowerze i patrzę, jak panowie bogacze – to woda na twój młyn, Wołku – polewają kostkę brukową środkami odchwaszczającymi. Zabijają każdą roślinkę, żeby nie weszła im w najnowszy model szpilek. Potem całymi dniami warczą kosiarki i smrodzą. Trzeba zabić każdą trawę i każdą roślinę. A mech posypać, żeby zdechł.

– Na rowerze jeździsz? Minister Szumowski mówił ostatnio, że jeżdżenie na rowerze albo jogging jest formą nadużycia wyrozumiałości władzy, bo to nie jest czas na dbanie o formę...

– Ale ja jeżdżę sama! Żadnych zgromadzeń nie robię. Uwielbiam jeździć sama. To miarowe pedałowanie uruchamia mi mózg.

– I co tam ten twój mózg wymyśla w stanie uruchomienia? To chyba nie jest dobry czas na nadaktywność mózgu, bo wnioski, do których takie nadmierne myślenie może doprowadzić, są raczej mało optymistyczne.

– Twoje także?

– No, moje to nie, ale ja mam syndrom Polyanny.

– Czyli?

– Nałogowo doszukuję się pozytywów w każdej sytuacji.

– Bravo! Jakie znajdujesz w obecnej?

– Że kapitalizm jest do dupy. Wiem, wiem, to nie jest pozytyw

– sam w sobie, ale prowadzi do pozytywnych wniosków. Państwa, w których socjalistyczna służba zdrowia nie została zastąpiona przez rynkową opiekę zdrowotną, nie tylko skuteczniej zwalczała epidemię, ale także pomagają innym. Biedna Kuba od początku tej zadymy wysłała lekarzy na cały świat – głównie łańciński, ale ostatnio wysłała także do Włoch. 29 tysięcy kubańskich lekarzy leczy ludzi w 59 państwach.

– I to wszystko urobek tych trzech tygodni?

– No dobra, może niektórzy byli tam już wcześniej, ale liczy się gotowość do poświęceń. I państwowe kubańskie zakłady, które normalnie szyją mundurki szkolne, zaczęły masowo szyc maski. Z dnia na dzień, bo to jest możliwe w gospodarce centralnie sterowanej.

– Nie wiem, czy we wszystkim znajdziesz pozytyw, ale niewątpliwie udaje ci się w każdej sytuacji znaleźć pretekst do propagandy komunistycznej.

– Tak właśnie definiuję pozytyw. Ale jeśli wolisz jakiś nieideowy: moje ambicje, a także kompetencje kulinarne bardzo się w ostatnim czasie podniosły. Np. jajka faszerowane...

– Jadłam kiedyś twoje jajka faszerowane. Były niejadalne.

– Bo robiło je moje stare ja. Moje nowe ja robi jajka znakomite i bardzo subtelne w smaku.

– Kto tak mówi?

– Wszyscy.

– Może nikt nie ma odwagi powiedzieć ci prawdy, w odróżnieniu ode mnie.

– Tak może być, bo ja bardzo źle znoszę krytykę.

– Co ty powiesz?

– Ale w odróżnieniu od innych nie tylko zdaję sobie z tego sprawę, ale także uczciwie to ogłaszam. Tłumaczę to konkubentowi, cytując klasykę: „Każdy może, prawda, krytykować. A mam wrażenie, że dopuszczenie do krytyki, panie, to nikomu nie podoba się. Dlatego z punktu mając na uwadze, że ewentualna krytyka może być, tak musimy zrobić, żeby tej krytyki nie było. Tylko aplauz i zaakceptowanie”.

– I co on na to?

– Bardzo chwali moje jajka faszerowane. A także inne produkcje.

– Na przykład?

– W ostatni weekend – który u nas w redakcji, jak wiesz, trwa 5 dni – zrobiłam, poza wspomnianymi jajkami faszerowanymi: klefiko, shepherd's pie, podlaską babkę ziemniaczaną, chili con carne i king ranch casserole z szarpną więprzowiną.

– Ciebie naprawdę pogrzało.

– Bo już nie mogę oglądać telewizji!

– Książkę byś poczytała.

– A wiesz, że na to nie wpadłam? ☐

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

Wieści
gminne
i inne

■ Japońska Toyota zamknęła fabrykę silników w Wałbrzychu. Chodzi o bezpieczeństwo pracowników, z powodu sprzedaży nowych samochodów, problemy z rejestrowaniem pojazdów oraz zamknięcie granic, przez które nie przejeżdżają podzespoły z importu. Prawdziwy jest zapewne powód drugi. Toyota sprzedawała w Polsce ok. 170 nowych pojazdów tygodniowo. Natomiast fabryka rowerów Kross w Przasnyszu zwalnia tylko 25 procent załogi, ponieważ „w wyniku administracyjnych nakazów ograniczeń w handlu i przemieszczaniu się sprzedaż produktów stała się praktycznie niemożliwa. Dodatkowo pogarsza się nastrój konsumentów do zakupów wszelkich dóbr, które nie są dobrami pierwszej potrzeby”. Ach, ta kapitalistyczna gospodarka!

■ Produkcję zawiesiły również: Amica we Wronkach oraz Samsung Electronics tamże. Stoją: fabryka Opla w Gliwicach, fabryka sprzętu AGD BSH w Łodzi, Fiata w Tychach, Volkswagena w Poznaniu. Nic nie produkuje MTU Aero Engines (silniki lotnicze) w Rzeszowie, Velux (okna dachowe) w zakładach w Gnieźnie i Namysłowie, LG Electronics (telewizory) w Mławie. Wstrzymały działalność: Firma Oponiarska Dębica, Marelli (komponenty motoryzacyjne) w Sosnowcu i Bielsku-Białej, Michelin w Olsztynie oraz Superior Industries, producent części samochodowych, w Stalowej Woli.

■ Hyundai Motor Poland przekazał 10 samochodów modeli Tucson i kona szpitalowi MSWiA w Warszawie w ramach wsparcia służby zdrowia w walce z pandemią. Samochody te miały być udostępnione do testów

dziennikarskich dla prasy motoryzacyjnej, ale teraz już nie będą. To naprawdę godna najwyższego uznania inicjatywa korporacji Hyundai.

■ 29-letni lubartowianin w towarzyskiej rozmowie z koleżankami z pracy przyznał, że miał kontakt z zarażonym koronawirusem. Kobieta przysłuchująca się konwersacji zawiadomiła policję. W trakcie działań operacyjnych policja ustaliła, że mężczyzna nie miał krytycznego kontaktu, a jego oświadczenie miało charakter żartu. Policjanci stwierdzili, że żart był mało dowcipny. Skierowali do sądu wniosek o ukaranie żartownisia więzieniem za przestępstwo określone jako wywołanie fałszywego alarmu. Policja ma rację. Można obecnie żartować, że miewa się HIV-a, wypróżnia się w kościele, używa kondoma



z główką Jarosława Kaczyńskiego na czubku, ale dowcipkowanie o zarazie powinno być karane kulą w łeb.

■ „Bezmyślność, brak rozsądku, ukrywanie prawdy lub wręcz okłamywanie mogą mieć w tym szczególnym okresie znaczenie dla życia i zdrowia innych osób, w tym służb niosących pomoc” – powiedziała rzeczniczka żywieckiej policji Mirosława Piątek, komentując incydent ze skazanym przez sąd, a poszukiwanym przez policję. Odnaleziona 30-letnia zguba, chcąc uniknąć więzienia, powiedziała policjantom, że ma koronawirusa, którego nabawiła się w Holandii. Wdrożono procedury sprawdzające. Ustalono, że facet jest zdrowy. Postawiono mu od razu kolejne zarzuty, zagrożone dodatkowymi ośmioma latami odsiadki.

■ W karetce, która jechała autostradą A4 przez powiat legnicki, pacjent z podejrzeniem koronawirusa zadał 8 ciosów nożem w pierś ratownika medycznego. Wywiązała się walka, w rezultacie której chorey wypadł z karetki i uciekł. Życie ранego sanitariusza zostało uratowane tylko dlatego, że karetka natychmiast odtransportowała go do szpitala. A jak potoczyły się kolejne losy nożownika? Jeszcze nie wiadomo.

■ O tym, że jednak o epidemii rząd nie mówi całej prawdy, świadczy ostatni przetarg ogłoszony przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów na świadczenie usługi pośrednictwa w publikowaniu nekrologów i kondolencji na łamach dzienników „Rzeczpospolita”, „Nasz Dziennik” i „Gazeta Polska Codziennie”. Zasadniczo takie niewielkie wydatki kancelaria premiera mogłaby ponieść z wolnej ręki. Przetarg ma obowiązek ogłosić, jeśli spodziewana wartość zakupu jest wyższa niż 30 tys. euro. To oznacza, że premier planuje drukowanie wielu nekrologów i kondolencji, a przecież tych, którzy umrą, zasłużysz na ten zaszczyt, wielu na razie nie jest.

Kapitan i majtki

Pamiętaj, aby w czasach Wielkiego Postu lesbijek na domówki nie spraszać.

„Masz okres, ale jestem kapitanem żeglugi wielkiej i Morze Czerwone przepłynę z palcem w dupie” – ogłosił samowzwańczy kapitan żeglugi wielkiej, wdzierając marynarską czapkę przywiezioną z czasów w DarłóWKu.

Do brzegu nie dotarł.

Nie na pieska, tylko po ryju

Niedziela Palmowa przed erą koronawirusa. Typowi Polacy święto ustanowione na pamiątkę wjazdu Jezusa na osłę do Jerozolimy obchodzą, paradując z palmami. 38-letni Waldemar K. jest nie całkiem typowym Polakiem i wjazd na osłę postanawia uczcić, organizując u siebie odjazdową imprezę. Na domówkę zaprasza Elżbietę B. i Grażynę D., damy jawnie żyjące ze sobą w grzechu. Pierwsza jest zadowolona lesbijką i Waldemar nie ma wielkich nadziei na odwrócenie trendu. Druga mieszkała z nim przez kilka miesięcy i dopóki palma jej nie odbiła, wstępu do męskich organów i kłaków na kłacie nie wykazywała. Ergo: jest obosieczna, co trójką gorący jak wulkan czyni prawdopodobnym.

„Czego się napijecie?” – pyta na powitanie gospodarz. Panie odpowiadają, że herbaty. Waldemar z trudem skrywa zawód, bo liczył, że czegoś mocniejszego sobie zażyczą, ale parzy herbatę, włącza muzykę, palą papierosy, gawędzą, robi się miło. Ale nie tak miło, żeby gospodarskie fantazje nabrały realnych kształtów. Waldemar próbuje Grażynę zmiękczyć i atmosferę nasączyć seksem, mówiąc, a pamiętasz, jak nam fajnie na pieska było, ale Elżbieta natychmiast kasuje wątek, komunikując, że jak się nie odpiędoli od jej laski, to dostanie po ryju. Waldemar wkłada łapę do terrarium. W terrarium są pajaki. I pudełko pełne amfetaminy. Grażyna pytając spogląda na konkubinę, no, możemy trochę jebnąć, kotku, dlaczego nie, mówi Elżbieta. Jebnęły więcej niż trochę. Waldemar jebnął tyle, że 300-kilogramowy osioł nakryłby się kopytami.

Oral i tradycyjne wartości

Stymulant nie powalił Waldemara, ale rozgrzał go do czerwoności, postanowił więc skończyć z konwenansami –

rozebrał się do naga i obwieścił, że polecą w trójkąt. Elżbieta na to, że jaja nie robią na niej wrażenia, a jeśli się natychmiast nie odzieje, zafunduje mu taki wpierdol, jakiego w życiu nie zaznał.

Grażyna, że jest całkiem pojebany, wobec czego wizytę uważa za zakończoną. Obie niewiasty wstały z zamiarem opuszczenia lokalu, ale go-

spodarz szybciej dopadł do drzwi wyjściowych, zamknął je na klucz, po czym klucz połknął, aby szansę na zakończenie wizyty dodatkowo zmniejszyć. Grażyna udała się do toalety. Usiadła na muszli klozetowej. Patrzyła przed siebie.

Elżbieta chciała na głowie Waldemara rozpiąć wazon, ale chybiła i zaliczyła głębę. Waldemar skrępował jej ręce paskiem i przywiązał ją do kaloryfera. Skoczył do kuchni. Przyniósł nóż. Albo mi obciągniesz, zboczona cwaniaro, albo cię zadżgam, zakomunikował. Elżbieta wybrała pierwszy człon alternatywy, ale po oralu chęć gospodarza osłabła tylko na moment. Gdy Grażyna wróciła, przyłożył jej nóż do gardła i rozkażał, żeby się położyła. Ściągnął jej spodnie i stanik. Nie wierzę, że wolisz baby, bo to niezgodne z naturą, rzekł. W odbył włożył sztucznego penisa, którego przed imprezą ukrył pod wersalką, żeby w razie czego był pod ręką. Członka naturalnego usiłował wprowadzić do pochwy. Grażyna wierzyła, szło jak po grudzie, skapitulowała.

Wygłosił krótki wykład. Stwierdził, że wyznaje tradycyjne wartości i nie wyobraża sobie, jak kobieta może odczuwać pociąg do kobiety, bo to nie może skończyć się poczęciem, a bez poczęcia ludzka egzystencja traci sens i jest tylko serią pozabawionych celu podrygów.

Wyłożywszy swój światopogląd, wrócił z nożem w rękę do przywiązanej do kaloryfera Elżbiety.

Ziemia Obiecana

„Żarty, kurwo, się skończyły” – powiedział i rozpiął kobiecie spodnie. Rękę włożył do majtek. Na palcach miał krew. Okres nie zrobił na nim większego wrażenia, nieraz był żeglarzem tych wód. „O, widzę, że masz okres, ale mi to nie przeszkadza, bo jestem kapitanem żeglugi wielkiej i Morze Czerwone przepłynę z palcem w dupie” – stwierdził, po czym założył przywiezioną z czasów marynarską czapkę. Lecz do

Ziemi Obiecanej nie dotarł. W sukurs małżonce przyszła Grażyna, która zaatakowała Waldemara od tyłu. Doszło do szarpaniny. W jej trakcie Elżbieta zdołała się uwolnić, chwyciła nóż i wbiła go Waldemarowi w szyję. Waldemar nóż wyciągnął. Krew trysnęła jak ze szlauchu. Połkniętego klucza nie mógł dobyć, ale w przedpokoju wisił zapasowy. Otworzył drzwi. Wyczołgał się na klatkę schodową. Krzyknął: „Ratunku!”

Grażyna i Elżbieta rzuciły się do ucieczki, ale poślizgnęły się w kałuży krwi i upadły. Przez

miasto biegiły zakrwawione. Nie bardzo wiedziały, dokąd. W końcu postanowiły, że pobiegną do siostry Grażyny. Siostra, jak tylko je zobaczyła, zadzwoniła na policję.

Sytuacja dynamiczna i kawałek noża

Waldemar K. skonał w morzu krwi przed przyjazdem wezwanego przez sąsiadów pogotowia. Prokuratura oskarżyła Elżbietę B. o to, że „działając w zamiarze pozbawienia życia, zadała mu cios ostrym kończystym narzędziem, powodując powstanie rany klutej szyi z przecięciem tętnicy szyjnej i następowym wykrwawieniem oraz zachłysnięciem, która była przyczyną nagłej i gwałtownej śmierci”. Trafiła do aresztu.

Badanie wykazało, że

w chwili dżgnięcia we krwi miała 500 nanogramów amfetaminy, tyle, ile wynosi dawka śmiertelna. W zwłokach Waldemara K. ujawniono 2,5 tys. nanogramów narkotyku, czyli ilość mogącą zabić 5 osób.

Nic dziwnego, że wcielił się w kapitana żeglugi wielkiej.

Sąd Okręgowy we Wrocławiu uniewinnił Elżbietę B., albowiem uznał, iż „działała w warunkach obrony koniecznej, odpierając bezpośredni bezprawny zamach na zdrowie i życie swoje oraz swojej partnerki Grażyny D.”.

Odwolanie złożyła prokuratura, twierdząc, że obrona miała charakter niewspółmierny do zagrożenia. Sąd apelacyjny nie zgodził się z tą argumentacją.

„Nie sposób w sytuacji, która miała charakter dynamiczny, biorąc pod uwagę stres towarzyszący oskarżonej, obawę o zdrowie i życie osoby jej bliskiej, wymagać od niej, aby dokonała zimnej kalkulacji i, jak to sugeruje oskarżyciel publiczny, odparła niebezpieczeństwo zamachu przy użyciu szklanek znajdujących się na ławie czy też skierowała cios w inną część ciała. Stan, w jakim znajdowała się, a będący niczym innym jak wynikiem wcześniejszego agresywnego zachowania Waldemara K., wyłącza możliwości przyjęcia, iż w sytuacji, w której się znalazła, były inne możliwe racjonalne sposoby uchylenia grożącego niebezpieczeństwa. Oskarżona, odpierając zamach, wyprawiała jeden cios, koncentrując się przy tym na konieczności odparcia bezpośredniego zamachu. Strach, stres, dynamika zdarzenia bez wątpienia uprawniały ją do podjęcia działań obronnych, a zważywszy na wszystkie wyżej powołane okoliczności, uznać go należy za współmierny do niebezpieczeństwa zamachu” – czytamy w uzasadnieniu.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK

mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

GIEŁDA PADA!!!



Rys. TOMASZ WATER

■ Policja i straż ogniowa oraz psy tropiące nie znalazły bomb w szpitalach w Ostrowie oraz Miliczu, o których informował redakcję miejscowej telewizji anonimowy donosiciel, wieszcząc, że eksplodują około szóstej po południu. Znalezione natomiast owego tajemniczego informatora. Każdy chciałby uczynić swoje życie dziełem sztuki i trafić na łamy mediów. Większości śmiółków udaje się spełnić najwyżej ten drugi postulat.

■ Skupiając się na zagrożeniu dla naszego zdrowia, którym to zagrożeniem jest koronawirus, warto być jednak czujnym, żeby nie przeoczyć innych niebezpieczeństw – alarmują lokalne media. Borelioza roznoszona przez kleszcze, smog, mięśniaki macicy oraz susza nie dają o sobie zapomnieć. Cyberatak natomiast stanowią zagrożenie dla naszego zdrowia psychicznego i fizycznego, informuje Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa (NASK).

Zwariować można od samego patrzenia na ekran komputera, czytamy w raporcie tej zacnej instytucji.

■ Funkcjonariusze Krajowej Administracji Skarbowej, zamiast sprzętu sportowego, który zgodnie z deklaracją miał być znajdować się w przesyłce kurierskiej ze Stanów Zjednoczonych do Polski, znaleźli osprzęt do karabinu snajperskiego. Najwyraźniej znów ktoś planuje zamach na Kennedy'ego.

■ Czterech graficy w wieku od 25 do 39 lat ujęli policjanci z Łodzi. Panowie zapaskudzili farbą w sprayu ścianę budynku w okolicach ul. Traktorowej, a następnie chcieli samochodem zbiec z miejsca ejakulacji artystów. O ich winie świadczą niepodważalne dowody. Byli uparani farbą, a w bagażniku mieli puste dozowniki. Mimo naszego przyrodzonego liberalizmu, za takie przejawy wandalizmu i barbarzyństwa kara dożywocia w warunkach nieustającej antywirusowej kwarantanny wydaje się nam jak najbardziej słuszną. Niestety jeszcze jej nie wprowadzono.

■ Władze miast Chelmu i Hrubieszowa po latach niesnasek wreszcie dogadały się w sprawie izby wytrzeźwień. Magistrat Chelma miał bowiem pretensje do ratusza w Hrubieszowie o to, że hrubieszowianie przywożeni do chełmskiej izby wytrzeźwień przez policję nie płacą za pobyt. Ściągnięcie należności w drodze egzekucji administracyjnej też jest często niemożliwe. Radni Hrubieszowa poczuli się do zażegnania tej niesprawiedliwości, asygnując kwotę 5 tys. zł rocznie na dofinansowanie trzeźwienia hrubieszowian w Chelmie. Rzecz wręcz niebywała!

Piękny przykład harmonijnego intersamorządowego działania na wschodzie Polski.

■ W ostatniej interpelacji poselskiej czytamy, że „PRL-owski zakaz sprzedaży alkoholu przez internet szkodzi hobbystom, którzy chcieliby na Śląsku skosztować unikalnego dorobku gdańskich destylarni Goldwasera, w Bieszczadach delektować się słynnymi miodami pitnymi z Warmii, bądź spróbować limitowanej edycji piwa browarów lokalnych”. Zatrośkanym posłom odpowiedziała minister rozwoju Jadwiga Emilewicz, że „regulacje dotyczące sprzedaży alkoholu wywodzą się z okresu stanu wojennego, z czasów skrajnej pogardy dla wolności obywatelskich, gdy o internecie nikt w Polsce jeszcze nie słyszał”. Stwierdziła, że nie zamierza ich zlagodzić. Pięknie, po prostu pięknie... Niby prosta wymiana opinii, a ile w niej głębokiej analizy socjologicznej, politycznej i historycznej. Jest ocena

JAK CI SMAKUJE PEŁN DO DEZYNFEKCI?



Rys. TOMASZ WATER

PRL-u, stanu wojennego, historia rozwoju technologii oraz jeszcze ci hobbysci...

■ Kilkutysięczne grupy Ukraińców spędzały weekendowe noce z przymrozkami do minus sześciu stopni w pasie przygranicznym, na świeżym powietrzu, w okolicach przejść granicznych w Hrebennem i Dorohusku. Rodziny wraz z dziećmi bez dostępu do wody, jedzenia i toalet. Pozostałe przejścia graniczne, w Zosinie i Dolhobyczowie, zostały zamknięte. Bracia Słowianie przekraczali granicę pieszo, ciągnąc dobytki w walizkach na kółkach, ponieważ kursowanie autobusów między naszymi krajami zostało wstrzymane. Powodem eksodusu jest brak pracy w Polsce. Chrześcijańscy przedsiębiorcy, liderzy gospodarki 4.0, zwalniają innowierców w pierwszej kolejności.

■ Władze niemieckich przygranicznych landów w obawie, że Polacy porzucą pracę, zaczęły przyznawać wysokie dodatki do pensji, które mają przekonać ich do pozostania. W Brandenburgii każdy Polak, który ma umowę o pracę z niemiecką firmą, może liczyć na 65 euro dziennie. W Meklemburgii Polacy otrzymują 40 euro dziennie oraz po 20 euro dla każdego członka rodziny, który zostanie po niemieckiej stronie. W Saksonii pomoc finansowa obejmie Polaków pracujących w szpitalach, ośrodkach opieki i hospicjach.

■ Policja w Gliwicach skierowała na kwarantannę bezdomnego pana Jana do domu. Ponieważ nie miał domu, dostał maseczkę i rękawiczki. Po czterech godzinach znaleziono dla niego lokal w miejscu odosobnienia. W Szczryku.

R.J.

Informacje zaczerpnięte z prasy lokalnej. Bardzo byśmy chcieli, aby przynajmniej niektóre nie były prawdziwe. Obawiamy się, że jednak są.



1. Portugalscy biskupi wymyślili lek na koronawirusa: zawierzenie Najświętszemu Sercu Jezusa i Niepokalanemu Sercu Maryi. Zważywszy na rangę adresatów – a także lokalizację iwentu, który odbywa się w sanktuarium fatimskim – o objęcie ochroną przed koronawirusem nie można występować indywidualnie, lecz jedynie w imieniu kraju. Reklamując ofertę, portugalski episkopat stwierdził, że modlitwa zawierzenia będzie „bezprecedensowym aktem”, dodając, iż pierwsze zawierzenie Portugalii Niepokalanemu Sercu Maryi odbyło się 13 maja 1931 r. Z oferty skorzystały 23 kraje: Albania, Boliwia, Kolumbia, Kostaryka, Kuba, Słowacja, Gwatemala, Węgry, Indie, Meksyk, Moldawia, Nikaragua, Panama, Paragwaj, Peru, Polska, Kenia, Dominikana, Rumunia, Hiszpania, Tanzania, Timor Wschodni i Zimbabwe. Nie ma to jak dobre towarzystwo.

2. John Bel Edwards, katolicki gubernator Luizjany, obwieścił ludowi, co robi dla walki z epidemią. „W czasie Wielkiego Postu, w którym skupiamy się na poście i modlitwie, chciałem poinformować mieszkańców Luizjany, że będę pościł jutro, we wtorek 24 marca” – obwieścił gubernator na Twitterze. „Pierwsza Dama i ja wierzymy w moc modlitwy i wiemy na podstawie naszej katolickiej wiary chrześcijańskiej, że modlitwa połączona z postem sprawia przyjemność Bogu”. W ramach sprawienia przyjemności Bogu gubernator Edwards – skądinąd demokrat – podpisał ostatnio stanowy zakaz aborcji po wykryciu tętna płodu, co następuje między 6. a 8. tygodniem, czyli zanim kobiety orientują się, że w ogóle są w ciąży. Zarządzana przez katolickiego gubernatora Luizjana ma trzecią w USA liczbę zakazanych na milion mieszkańców.

3. 72-letni ks. Giuseppe Berardelli z Bergamo zmarł na koronawirusa, bo respirator, na który zrzucili się jego wierni, oddał młodszemu pacjentowi – ogłosił lokalny dwutygodnik „Araberara”, a za nim światowe media. W Polsce: „Rzeczpospolita”, „Dziennik”, „Fakt”, „Wprost”, „Polska The Times”, „Gazeta Wrocławska”, „Do Rzeczy”, Radio Zet, RMF FM, Onet, Interia, TVN, TVP Info, Radio Maryja i „Nasz Dziennik”. „Choć ks. Giuseppe Berardelli będzie pamiętany jako człowiek wielkiej życzliwości i poświęcenia, doniesienia o oddanym respiratorze przekazanym młodszemu pacjentowi nie polegają na prawdzie” – sprostował sekretarz generalny diecezji Bergamo o. Giulio Dellavite, dodając, że wprawdzie żadnego podarowanego przez wiernych respiratora nie było, ale on wierzy, że gdyby był, ks. Berardelli by go oddał.

4. W Limie, stolicy objętego 2-tygodniową kwarantanną Peru, wierni z parafii pw. św. Antoniego Padewskiego wystąpili do proboszcza ks. Enrique Díaza z wnioskiem o wystawienie monstrancji na kościelnym dachu. Wydarzenie zyskało nazwę „holly hours”, kusząco podobną do „happy hours”, które przynoszą wiernym radość w okresie pozakwarantannowym. Okoliczni mieszkańcy – nie tylko katolicy, jak podkreślił ks. Díaz – „stanęli w oknach, wyszli na balkony i wielu z nich ukłękło przed Najświętszym Sakramentem”. Najciekawsze było jednak sprawozdanie z tego iwentu na pryncypialnie katolickim portalu „Church Militant”: „Wystawienie monstrancji, z towarzyszeniem świąteli i muzyki peruwiańskiej, służyło temu, aby ludzie mogli pomodlić się za ofiary stworzonego przez komunistów wirusa Wuhan, a także podziękować za własne zdrowie”.

5. John Hamill z irlandzkiej organizacji Prorok Wolnej Myśli był pastafarianinem, zanim nie nawrócił się na wyznanie Synkretycznego Kościoła Jezusa Chrystusa, oparte na myśli amerykańskiego teologa Roberta M. Price’a, który twierdzi, że Chrystus wprawdzie nie istniał, ale z jego nauczania można wywieść wiele słusznych moralów. Jeśli myślicie, że to kolejne jaja z religii, nieco tylko subtelniejsze od Latającego Potwora Spaghetti, to oczywiście macie rację – rzecz w tym, że żadne prawo w Europie nie nakazuje brania religii serio. Tymczasem Oifig an Ard-Chláraitheora, irlandzki urząd rejestrowy, odmówił zarejestrowania Synkretycznego Kościoła Jezusa Chrystusa, ponieważ wśród wnioskodawców znalazł się były pastafarianin, co – zdaniem urzędu – jest dowodem na to, że wniosek został złożony złośliwie.

6. Landon Spradlin, 66-letni kaznodzieja z Virginii, nauczał wiernych, iż opowieści o koronawirusie to „masowa histeria” wymierzona w prezydenta Trumpa, media „nadymają strach”, a cały ten wirus, który „przyszedł i przejdzie”, to pryszcz przy świńskiej grypie z czasów Obamy, tylko wtedy media stronnictwo wspierały prezydenta. Spradlin wraz z żoną, także misjonarką, udał się na karnawał do dziesiątkowanego przez COVID-19 Nowego Orleanu, żeby „obmyć to miasto z jego grzechów i rozpusty”. „Niesamowite Mardi Gras w tym roku. Wielu poczuło dotyk mocy i miłości Jezusa!!” – chwalił się na Twitterze. W drodze powrotnej zastąpił na stacji benzynowej w Concord w Karolinie Północnej, skąd został zawieziony do pobliskiego szpitala, gdzie tydzień później zmarł na związane z koronawirusem zapalenie płuc.

7. Wspomniany w zeszłym tygodniu Kent Hovind, właściciel Dinosaur Adventure Land, kreacjonistycznego parku rozrywki, w którym utonął 7-letni chłopiec, ma coś więcej do powiedzenia na temat wypadku. Na początku ogłosił, iż wprawdzie bachor utonął, ale wcześniej bawił się świetnie z rodzeństwem – co nie wzbudziło życzliwych komentarzy nawet wśród innych kreacjonistów. Teraz Kent uzupełnia swoje zeznania: „Wystałem esemasa do ojca dzieciaka, napisałem: »Czy wiesz, że 31 osób utonąło w tym roku na tym kawałku wybrzeża? Co zrobisz, postawisz płot wokół oceanu? Daj spokój. Stało się. Staramy się unikać takich sytuacji, ale dzieciaki robią czasem głupie rzeczy». Tata jest zachwycony naszą posługą. Chce wrócić. Wspiera nas i tak dalej. Więc powiedz sceptykom, żeby się zamknęły i zajęły własnym życiem”.

Szumowski i globalna masturbacja

WHO jest kim.

• • •

Jeśli jakakolwiek międzynarodowa agencja cieszy się sopolitym uznaniem, to jest nią właśnie Światowa Organizacja Zdrowia. Zrzesza 194 kraje, czyli niemal wszystkie istniejące, i, w przeciwieństwie do wielu innych ponadpaństwowych ciał politycznych, zajmuje się nie mieszanym wiatru, ale staraniem o faktyczną likwidację ludzkich cierpień.

Głównymi celami działającej przy ONZ od 1948 r. WHO są walka z chorobami zakaźnymi, szerzenie dostępności i podnoszenie jakości służby zdrowia, poprawa standardów żywności i leków oraz ograniczenie umieralności bachorów. To dzięki WHO udało się w dużym stopniu zwalczyć cholerę, dżumę, ospę prawdziwą czy gruźlicę, na którą wykasłali się przecież Słowacki i Chopin.

Polska jest członkiem Światowej Organizacji Zdrowia od początku jej istnienia, ale dopiero Kaczyńskiemu przyszło do głowy, żeby otwarcie zacząć wojować z uznanymi filarami nauk medycznych.

• • •

Pierwsze sygnały na temat tego, że pracy może być z WHO nie po drodze, pojawiły się w okolicach startu kampanii wyborczej przed wyborami w 2015 r. Wówczas to przykościelne media coraz głośniej zaczęły donosić o skandalu, jakim jest wydany przez WHO dokument „Standardy edukacji seksualnej w Europie”.

Co zadziwiające, dzieło to wydane zostało w 2010 r., a w 2012 r. przetłumaczone na język polski – świat więc pogodził się z zawartością już dekadę temu.

Skumany z Ordo Iuris portal „Polonia Christiana” straszył w styczniu 2014 r. w publikacji „Ideologia gender w praktyce. WHO proponuje: masturbacja dla 4-latków”, że dzieci i młodzież mogą przez tak rozumianą edukację pojąć wiedzę o różnych metodach antykoncepcji, odmiennych orientacjach seksualnych i różnych koncepcjach rodziny, a nawet – o zgrozo –

o zmianach dotyczących ciała, miesiączkowaniu i ejakulacji!

W czerwcu 2017 r. „Gość Niedzielny” przypieprzył się do WHO po nominowaniu na jej przewodniczącego Etiopczyka Tedrosa Adhanoma Ghebreyesusa. W ocenie kościelnych dziennikarzy człowiek ten dał się poznać jako zdeklarowany aborter, promotor antykoncepcji i człowiek chodzący na pasku Clintona oraz Gatesa.

Gdy pod koniec wiosny 2018 r. prezydent Paweł Adamowicz postanowił wprowadzić w gdańskich szkołach ponadpodstawowych edukację seksualną opartą na standardach WHO, radna PiS Anna Wirska ostrzegła: „Nie każdy rodzic sobie życzy, żeby jego dziecko było zasypywane takimi treściami”. Inna radna PiS Anna Maria Kołakowska wysłała do Ministerstwa Edukacji Narodowej list w tej sprawie, a odpowiedź, jaką otrzymała, była „Tak bełkotliwa, że złapałbym się za głowę! Wynikało z niej jasno, że MEN w ogóle nie zamierza przeciwdziałać propagandzie homoseksualnej w polskich szkołach”. Radna wróżyła nawet, że jeśli rząd nie podejmie w tej sprawie interwencji, będzie to oznaczać koniec Prawa i Sprawiedliwości.

Małopolska Kurator Oświaty Barbara Nowak straszyła, że te programy „ukrywają ideologiczne genderowe treści (...) kłamia, oszukują i deprawują”. Radio Maryja zorganizowało przed gdańską stocznia manifestację przeciwko szerzeniu się w polskich szkołach ideologii gender. Wznoszono hasła „Stop homopropagandzie!” i „Stop deprawacji dzieci!”. A Telewizja Trwam transmitowała na żywo – uwaga! – egzorcyzmy nad prezydentem Adamowiczem.

• • •

To, co zapomniano zamordowanemu w styczniu 2019 r. Adamowiczowi, nie uszło płazem nie mniej wstrętnemu dla prawicy Rafałowi Trzaskowskiemu.

Po tym gdy w lutym 2019 r. prezydent Warszawy podpisał tzw. Deklarację LGBTplus, zakładającą m.in. wprowadzenie w każdej szkole edukacji seksualnej zgodnej ze standardami Światowej Organizacji Zdrowia, wytoczono przeciwko niemu najcięższe działa.

Jarosław Kaczyński podczas konwencji PiS w podkarpackiej Jasionce określił to jako „atak na rodzinę, i to najgorszy z możliwych, bo atak na dzieci”. „To socjotechnika, która ma zmienić człowieka. W jej centrum jest bardzo wczesna seksualizacja dzieci” – oburzał się prezes.

Rzecznik Praw Dziecka Mikołaj Pawlak pisał, że „standardy Światowej Organiza-

cji Zdrowia, na które powołano się w deklaracji, »niosą ze sobą stwierdzenia, które są wątpliwe dla wielu rodziców”.

Krystyna Pawłowicz obiecywała: „PiS jest za tolerancją, ale NIE za afirmacją i wspieraniem nienaturalnych odmienności. PiS mówi NIE atakom na rodzinę i dzieci. Będziemy bronić polskiej rodziny”.

Z drugiej flanki temat pompowała TVP Info, racząc widzów tytułami typu: „Masturbacja we wczesnym dzieciństwie. »Światowe« standardy edukacji seksualnej w Warszawie”.

Wszystkich przebił jednak wiceprzewodniczący episkopatu abp Marek Jędraszewski, który podczas konferencji prasowej oznajmił: „Jak to możliwe, że Kościół jawi się jako przestępcza instytucja, podczas gdy wkoło kwitnie sekturstyka, wykorzystywanie dzieci i nowe deprawujące przepisy dotyczące edukacji seksualnej (...). Tu jest wszystko dobrze, a teraz w imię zaleceń WHO chce się uczyć dzieci czegoś takiego. Potrzebni są tutaj starsi, żeby dzieci nauczyć, czyli potrzebne jest molestowanie. I to jest dobre. Dochodzimy do absurdów!”.

• • •

Temat – mimo wielokrotnego tłumaczenia przez Światową Organizację Zdrowia, że w jej standardach nie chodzi o naukę masturbacji – nie wysechł. Tuż przed październikowymi wyborami parlamentarnymi Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla Telewizji Trwam ponownie straszył wytycznymi WHO: „Wczesną seksualizację dzieci trzeba określić jako celową demoralizację, i to taką przeprowadzoną »na zimno«, po to żeby dziecko skoncentrować na sprawach, o których nie powinno w tym wieku myśleć”.

Kilkanaście dni później w Sejmie doszło do pierwszego czytania projektu, w którym postawie PiS postulowali karę do pięciu lat pozbawienia wolności za edukację seksualną małoletnich. Projekt potępił w specjalnej rezolucji Parlament Europejski, a do jego procedowania ma niedługo wrócić Sejm obecnej kadencji.

Gdy więc słuchać będziecie dziś konferencji mądrali Morawieckiego i Szumowskiego, podpierających się statystykami WHO, wytycznymi WHO i obiecującymi najcisłszą z WHO współpracę, pamiętajcie: gdy tylko pandemia się skończy, ci sami panowie równie ochoczo przylgają się do wylewania na tę instytucję kolejnych wiader pompy.

MICHAŁ MARSZAŁ

michal.marszal@redakcja.nie.com.pl



Z CZARNEJ DUPY się wyrwało

■ Ogromne poruszenie wśród polskich katolików wzbudziło ograniczenie niemal do zera możliwości uczestnictwa wiernych w Mszach Świętych i nabożeństwach. Tym bardziej w Wielkim Poście i bliskiej perspektywie najważniejszych świąt chrześcijaństwa. Jednym z wyrazów przeżywanego przez wielu z nas wewnętrznego buntu przeciwko zamknięciu – de facto – świątyni u progu Triduum Paschalnego i Wielkiej Nocy, jest petycja, której autorzy i sygnatariusze zwracają się do Prezesa Rady Ministrów o modyfikację restrykcji. Przeglądając się szczegółom rządowych rozporządzeń, niestety bowiem zauważyć, że z nieznanym powodów kościoły, uważane są przez władze za główne ogniska epidemii. W tym samym czasie gdy – nawet w przestronnych miejscach kultu – zakazuje się nam udziału w Eucharystii, Drodze Krzyżowej, Gorzkich Żalach czy pokutnym Różańcu, **Pola-czy tłoczą się w supermarketach, tramwajach i autobusach...** Fundacja Życie i Rodzina, petycja do premiera, 25 marca

■ Mówimy bardzo wyraźnie o zagrożeniu życia przez koronawirusa. Słyszymy, jakie zniwo biera śmierć we Włoszech, Hiszpanii, wcześniej w Chinach i Stanach Zjednoczonych, w całej Europie i także u nas. Jest to walka o przetrwanie, o obronę życia. Nie zapominajmy, że **życie ludzie niszczą sami**. Nie tylko na wojnach, ale w labora-

toriach, w szpitalach. Niszczą życie przez aborcję i eutanazję.

bp Ignacy Dec, homilia, 27 marca

■ Środowiska lewicowe, a nawet lewackie, wspierane przez dobrze zorganizowane ruchy feministyczne, w imię rzekomej nowoczesności forsują środki antykoncepcyjne i prawo do aborcji. (...) Może to jest boże upomnienie? Niektórzy mówią, że to jest kara boża, to, co się dzisiaj dzieje. Trzeba wzmóc modlitwę w tej intencji, żeby ustały „czarne marsze”.

dalej Dec

■ Chcemy bowiem wyzwolenia od zarazy, jaka spadła na nas. Chcemy żyć, ale czy dziś w swym życiu łączymy prawdę z wolnością? Czy wolność nasza jest w prawdzie? Żyjemy bowiem w czasach, gdy wielu nam wydawało się i nadal wydaje, że wystarczy tylko jakaś część prawdy, a będziemy wolni, że gdy tylko ją głośno wypowiemy, wolność zostanie z nami na zawsze i stanie się naszym sposobem życia. Tak jednak nie jest, bo samo poznanie prawdy, a właściwie jej części, nie daje jeszcze jej zrozumienia, nie daje wiary w nią i należy (…). **Prawdą tą jest Bóg**, porzucenie więc Boga jest porzuceniem największej prawdy, a zatem jest **uśmierceniem naszego rozumu**.

prof. Paweł Skrzydlewski, Radio Maryja, 29 marca

■ Obserwujemy nieproporcjonalny, niekonieczny i nieadekwatny atak na wolność praktyk religijnych. Tym jest wprowadzone ograniczenie do pięciu osób liczby wiernych obecnych w świątyni. Trzeba przede wszystkim podkreślić, że nie ma to nic wspólnego

go z działaniem racjonalnym i proporcjonalnym do ograniczeń wdrażanych w innych sferach życia. To efekt czystego **populizmu władzy**, która świadomie wybrała taką odpowiedź na narastającą falę poszukiwania kozła ofiarnego dla straszonej epidemii opinii publicznej. Tym **populistycznym kozłem ofiarnym** stały **kościóły i praktyki religijne**.

mecen. Jerzy Kwaśniewski, prezes Ordo Iuris, PCh24.pl, 31 marca

■ To oczywiście narusza konstytucyjną wolność publicznego sprawowania kultu i uczestniczenia w ceremoniach religijnych. Nie mam też wątpliwości, że jest to efekt populizmu, który wkłada się w procesy rządzenia, gdy narasta kryzys. (...) Zgodnie z mechanizmem kozła ofiarnego ofiarowanie go na ohtarzu populistycznych emocji rzeczywiście doprowadziło do wstrząsu, zrozumienia, że mamy do czynienia z sytuacją nadzwyczajną. Niestety **rola kozła ofiarnego** w tym scenariuszu, za przyzwoleniem władz przypadła świątyniom i praktykom religijnym. Faktycznie **wyeliminowano swobodne zbiorowe praktyki religijne**. I stało się to po dwóch tygodniach medialnej mantry wzywającej do zamykania kościołów, tak jakby było to jedyną ścieżką „oczyszczenia z zarazy”. To zarządzanie ma oczywiście swoje konsekwencje w postaci ograniczenia dostępu do sakramentów. Mam poważne **ograniczenie dostępu do posługi kapłańskiej**, chociażby z namaszczeniem chorych. Jest problem z dostępnością spowiedzi.

dalej Kwaśniewski

Wybrał
WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

Nawet bozia
spierdala
przed zarazą.

Nie jest dobrze. Sytuacja jest tak groźna, że także mieszkańcy nieba stosują się do zaleceń Morawieckiego i Szumowskiego. Jedna z sześciorga wizjonerów z Medjugorie dostała cynk, że trzeba ograniczyć spotkania z Matką Boską. Powiedziała jej to Maryja. Nie wiemy, czy była w maseczce i rękawiczkach, w każdym razie pewne jest, że w Królestwie Niebieskim ogłoszono kwarantannę oraz zakaz

spacerów na ziemię.

Medjugorie to miejscowość w Hercegowinie, gdzie od niemal czterech dekad dwunastu oczom ukazuje się zjawia przedstawiająca się jako matka pewnego żydowskiego nauczyciela, którego uroczystą śmierć w tym roku anulowano. Widocznie – z braku ziemskich publicznych obchodów – zapracowana rodzicielka musi szykować przyjęcie w niebiesiech. Skoro jego urodziny świętuje się tak hucznie, to rocznicę śmierci zapewne również. Ofiarą pełnego grafika lub strachu Przenajświętszej Panienki padła Mirjana Dragičević-Soldo.

Gospa (po chorwacku: Matka Boska) objawiała się Mirjanie dość rzadko: od pewnego czasu zjawiała się tylko z życzeniami urodzinowymi (18 marca) i każdego 2. dnia miesiąca. Podczas ostatnich urodzin powiedziała, że to koniec z regularnymi schadzками, od teraz wpada tylko na urodzinowe party. Nie raczyła się nawet pożegnać z fanami. Tak się składa, że comiesięczne widzenia były objawieniami publicznymi. W połowie. Wyglądało to tak: Dragičević-Soldo modliła się wspólnie w ludźmi, w pewnym momencie wywracała gałki oczne do góry i wpadała w trans – co miało oznaczać, że seans spirytyczny z Gospą się zaczął. O tym, że do Mirjany ktoś mówi, świadczyły znaki następujące: a to wizjonerka pokiwa głową, a to się zaśmieje, a to zapłacze, a to pomruczy coś pod nosem jak w żywym dialogu. Dla towarzyszących mistyczne niedostępne były zaś takie atrakcje, jak wizja i fonia, coby samemu sobie posłuchać przekazu wprost sprzed boskiego tronu. Oraz aby zweryfikować prawdziwość objawień. Musieli wierzyć na słowo. Po kilku minutach takiego teatryku Mirjana wypadała z transu i jeszcze kilka minut płakała. To, co usłyszała, dyktowała siedzącemu obok skrybie. Następnie odczytywano to tłumowi, często głosem męskim, co wprowadzało element dzenderowy do wydarzenia. Po wszystkim w asyście ochroniarzy Mirjana kroczyła wśród tłumu. Przybijała piątki, podawała dłonie do całowania, głaskała po główkach, brała dziecięcy w objęcia, pozowała do zdjęć. Niczym

gwiazda rocka

lub Jarosław Kaczyński na miesięcznicy.

Scenariusz widzeń był od lat ten sam, niespecjalnie też zmieniała się treść objawień. Były czasy (lata 1981–82), gdy ta pochodząca z Sarajewa celebrytka widywała Gospę codziennie. Oprócz niej widzenia miały Ivanka Ivanković-Elez, Vicka Ivanković-Mijatović, Jakov Čolo, Ivan Dragičević oraz Marija Pavlović-Lunetti.

Matko Boska zostań w domu

Ostatnia trójka nadal miewa objawienia codziennie. Ciągłe to samo: trzeba się nawrócić, pościć, modlić i inne religijne bla, bla, bla.

Show z objawieniami można zamówić. Wizjonerzy stanowią objazdową trupę kuglarzy. Nigdy jednak publika nie ma przywileju stanięcia oko w oko z Maryją. Po prostu przyjeżdżają na umówione miejsce, a gawiedź może popatrzeć, jak gada baba do niewidocznego obrazu. Wokół Medjugorie wytworzył się cały biznes turystyczny. Jest to popularny kierunek wśród polskich dewotów, bo można sobie za niewielkie pieniądze wpaść za granicę i jeszcze zdrowie u bozi zamówić.

Lourdes czy Fatima nie są na kieszonkę każdego polskiego emeryta. „Medjugorie” brzmi bardziej egzotycznie niż „Częstochowa” czy „Lichen”. A i sąsiadka z kościelnej ławy z zazdrością spojrzysz na światowe wojaże.

Hercegowińskie wizje nie zostały dotychczas oficjalnie uznane przez Watykan, ale

za duży hajs

jest tam trzepany na naiwniakach, żeby ten kram zamknąć. Gdyby ktoś chciał liźnąć języka kościelnej dyplomacji, oto darmowa lekcja. Sytuację taką określa się w kleszym narzeczu następująco: „Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Medjugorie wydaje dobre owoce duszpasterskie (...). Gdyby się okazało, że przynajmniej część tych objawień jest autentyczna, to będzie to oczywiście jakaś dodatkowa konsekracja tego miejsca”. Tak że: póki zarabia-



Ilustr.: WŁODEK KIERUS

my, może się tam ukazywać nawet Szatan (co też niektórzy z wiernych podejrzewają). Jest to lekcja nie od byle kogo, bo od abepe Henryka Hosera, który z polecenia Franciszka badał tam-

tejszą sytuację po przejściu na emeryturę jako ordynariusz warszawsko-praski. Złośliwi gadali, że to zyska, żeby Hoser nie kłapał tyle ozorem w Polsce. Jeszcze złośliwsi, że to taki bulterier, którego puszcza się na odcinki trudne. Takie jak Rwanda, w której był nuncjuszem w czasach wojny domowej i do dziś za wiele na ten temat nie można od niego wyciągnąć.

W każdym razie pewne jest, że watykański ping-pong w sprawie Medjugorie jeszcze trochę potrwa, i dopóki to źródło z kasą nie wyschnie, oficjalnej anatemy nie będzie. Na razie manatki zwija jedna z gwiazd serialu o Maryjce i widzących. To zapewne absolutny przypadek, że

Matka Boska ogłosiła wstrzymanie spotkań akurat w czasie zaawansowanego stadium epidemii.

Oczywiście nie śmiemy przypuszczać, że straszni opiekunowie szemranego sanktuarium po prostu nie chcą stwarzać zagrożenia zarażaniem w czasie widzenia Mirjany. Któż mógłby podejrzewać, że wycofanie się Najświętszej Panienki z comiesięcznych publicznych objawień mogłoby mieć coś wspólnego z pandemią? Na pewno nie jest tak, że kler boi się o własną dupę, zwłaszcza od kiedy dwóch księży i 3 zakonnice z Medjugorie zarazili się koronawirusem. Na pewno nie boi się też wizjonerka, skoro nie bała się widywać z Maryją za komunii – co z dumą podkreśla – narażając się bezbożnym władzom. Stawiać należy raczej na osobistą

tchórzliwość

Gospy. Już na kartach Ewangelii można zauważyć, że była to niezbyt mężna niewiasta. Zamiast przyznać się mężowi do przedmażeńskiejszy zdrady, wymyśliła historię z inseminacją przez Ducha Świętego. Jest to swoją drogą najbardziej kosztowna społecznie historyjka wymyślona na potrzeby udobruchania męża. Zazwyczaj takie kłamstewko kosztują najwyżej kilka cichych dni wstydu oraz kilka namiętnych stosunków dla zasklepienia ran, czasem jakaś obita twarz się zdarzy. Tutaj poszło po bandzie: nowa religia, lata prześladowań, inkwizycja, stosy, hamowanie rozwoju nauki, Rydzyk, Jędraszewski... Każdej kobiecie rekomendujemy wymyślanie nieco mniej wpływających na losy świata usprawiedliwień.

Ks. Michał Gaszczyński z parafii św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Czernicach Borowych przeleciał pod koniec marca niebo nad Przasnyszem samolotem, zaopatrzony m.in. w figurkę Matki Boskiej z Medjugorie. Uczynił to w celu przewiania morowego powietrza nad miasta i okolic. Naśladowcom tego kapłana radzimy ostrożniej dobierać partnerki w tego rodzaju przedsięwzięciach. Odmówiona podczas akcji Koronka do Miłosierdzia Bożego też nie była najfortunnijszym wyborem.

Rób jak bozia: zostań w domu, już – nie daj, Boże – nie chodź do kościoła! Nawet po wygaśnięciu epidemii. Przy odpowiednim zaopatrzeniu i dobrym towarzystwie można mieć jazdy nie gorsze od szóstki wizjonerów z Medjugorie.

ŁUKASZ PIOTROWICZ

Wieści z kruchty

➤ Na Jasną Górę udał się prezydent Andrzej Duda i pomodlił się przed obrazem Czarnej Madonny, aby pandemia już nie szalała i żeby mogły się odbyć wybory, które on wygra. Jako wynagrodzenie Matce Boskiej prezydent przywiózł różaniec z bursztynowym krzyżem. Pani Jasnogórskiej widać to było mało, gdyż prośbę prezydenta spełniła połowicznie. Pandemia nadal szaleje, ale Sejm zmodyfikował kodeks wyborczy, aby każdy mógł głosować korespondencyjnie i Dudę wybrać.

➤ Abp Marek Jędraszewski nawiedził z kolei Sanktuarium Pasyjno-Maryjne w Kalwarii Zebrzydowskiej i zawierzył Archidiecezję Krakowską opiece Matki Bożej Kalwaryjskiej. Metropolita krakowski przywiózł dary – nie banalny różaniec, ale relikwie św. Karola Boromeusza, który był arcybiskupem Mediolanu, gdy w XVI w. miasto kilkakrotnie nawiedzały zarazy. Podczas epidemii ospy w 1577 r. prowadził boso procesję pokutną ulicami miasta, po której epidemia znikła. Jędraszewski nie zdecydował się jednak na przybycie boso – miał

buty, nie wiadomo więc, jak zawierzenie zadziało.

➤ Kapelani z Radomskiego Szpitala Specjalistycznego w związku z zarazą nie mogą wejść na oddziały do chorych, ale sobie radzą. Opracowali taką technikę: pielęgniarki informują pacjentów, aby wzbudzali żal za grzechy, wtedy kapelan staje przed drzwiami oddziału i udziela im rozgrzeszenia. Tak też się odbywa spowiedź. Komunia podobnie – zdalnie, duchowo. Najłatwiej jest z mszą, bo kto ma smartfon z internetem, ten może sobie oglądać.

➤ Duchowni z ośmiu parafii z dekanatu Uście Solne przechodzą kwarantannę. To efekt ich spotkania z proboszczem, który zmarł po zarażeniu koronawirusem. Teraz służby ustalają tożsamość wszystkich osób, które miały kontakt z duchownymi. O tym, dlaczego wszyscy księża z dekanatu spotykali się razem, krążą różne słuchy. Jedni twierdzą, że była balanga z okazji imienin, inni, że chodziło o naradę związaną z dniem skupienia. Teraz mają kilka dni skupienia więcej.

➤ Proboszcz parafii w podwarszawskiej Zielonce mimo zakazu obowiązującego w kraju poprowadził ulicami miejsco-

wości Drogę Krzyżową dla wiernych. Sprawa trafiła do sądu i duchownemu grozi 5 tys. zł kary grzywny. Ciekawe, czy służby byłyby tak wyrywne, gdyby na czele procesji szedł nie byle proboszcz, ale ojciec Rydzyk.

➤ Ks. Mieczysław Puzewicz z Lublina uruchomił produkcję „masieczek duchowych”. „Masieczka” to także modlitwa, ale nie ogólna, za wszystkich, lecz indywidualna, za konkretną osobę wymienioną z imienia i nazwiska. „Masieczki” mają być rozdawane lekarzom, pielęgniarkom i ratownikom medycznym. Akcja jest prowadzona w myśl zasady – lepsza taka masieczka, niż żadna.

➤ Prawdziwym bohaterem tygodnia stał się za to ks. prof. dr hab. Tadeusz Guz, wykładowca Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Tłumaczył na antenie Telewizji Trwam, że „Pan Bóg żadnych wirusów nie rozprzestrzenia” i spokojnie wierni mogą chodzić na msze. Kapłan ma czyste ręce „w sensie nadprzyrodzonym”, ponieważ są konsekrowane. Można więc przyjmować z jego rąk komunii do ust. „Udzielanie komunii świętej do ust nie zagraża ani jednemu Polakowi i obywatelowi Rzeczypospolitej Polskiej roznoszeniem jakichkolwiek wirusów” – mówił Guz. Lidia Jaskuła, rzeczniczka prasowa KUL,

wydała oświadczenie: „Według naszej wiedzy ks. prof. Guz nie posiada kwalifikacji naukowych, aby wypowiadać się na tematy dotyczące medycznych aspektów epidemii, w szczególności na temat sposobu rozprzestrzeniania się koronawirusa i rozwijania się epidemii. W związku z ogłoszonym stanem epidemii władze uniwersytetu zobowiązały wszystkich pracowników i studentów – w tym również ks. Guza – do realizacji zaleceń i przepisów wydawanych przez odpowiednie organy i służby, przede wszystkim przez ministra zdrowia oraz Głównego Inspektora Sanitarnego”. Odezwał się także ks. Adam Jaszcz, rzecznik archidiecezji lubelskiej: „Wypowiedzi ks. prof. Guza na antenie Telewizji Trwam stoją w sprzeczności z katolicką nauką o przeistoczeniu oraz stanowiskiem Episkopatu Polski. Ksiądz arcybiskup wzywa ks. prof. Guza, aby jak najszybciej sprostował wypowiedzi niezgodne z katolicką nauką o Eucharystii”. Ile osób ogląda Guza w Telewizji Trwam, a ile czyta oświadczenia jakichś rzeczników?

➤ „Zakaz gromadzenia się na mszy św. więcej niż pięciu osób jest po prostu nieroztropny. Uderza nie tylko w naszą tradycję, ale także w naszą odporność w tych najtrudniejszych czasach” – stwierdził w Telewizji Trwam Antoni

Macierewicz. „Konsekwencje dla naszego życia duchowego, dla naszego stanu psychicznego, dla naszej duchowości – są w sposób oczywisty niesłychanie negatywne” – dodał, apelując do ministra zdrowia, żeby zmienił ten zapis. Na szczęście mowa sprawcza Macierewicza już dawno jest żadna.

➤ Instytut Ordo Iuris wydał coroczny raport dla Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Wynika z niego, że w Polsce wzrasta liczba aktów nienawiści wobec chrześcijan. Ordo Iuris naliczył aż 40 takich przypadków. Chodzi głównie o antychrześcijańskie prowokacje, których dopuszczali się aktywiści ruchów LGBT. Liczne były także akty wandalizmu – dewastowanie grobów, włamania do kościołów, niszczenie kapliczek. Ordo Iuris zalicza każde kopnięcie krzyża po pijaku za akt antychrześcijański wynikający z pobudek ideologicznych, a nie z procentów we krwi. Raport – co warto zaznaczyć – przygotowywała Karina Bosak, dyrektorka Centrum Wolności Religijnej Ordo Iuris, od niedawna żona kandydata na prezydenta Konfederacji Krzysztofa Bosaka.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

W sytuacji, gdy my tu walczymy o życie, szef Światowej Organizacji Zdrowia, człowiek z Etiopii, w której pierwszą przyczyną śmierci jest głód, wymyślił, że koronawirus to „**wróg publiczny nr 1**” i trzeba go atakować. Zdaniem szefa od globalnego zdrowia i dobrego samopoczucia „**znajdowanie, izolowanie, testowanie, leczenie i śledzenie wyników pacjentów to nie tylko najlepsze i najszybsze wyjście z ekstremalnych ograniczeń społecznych i ekonomicznych, ale także najlepszy sposób, aby zapobiec kolejnym zachorowaniom**”. Zaleca również szkopoczenia personelu medycznego oraz powszechną edukację. Świadczy to o rozpaczliwej mizarii umysłowej tego człowieka i w gruncie rzeczy o braku jakichkolwiek konstruktywnych pomysłów. Nie chodzi o to, żeby atakować. Chodzi o to, aby miliony skurwysynów zabić, kurwa mać, zanim one pozabijają nas.

Nie czas na barykady

Nowoczesne problemy wymagają nowoczesnych rozwiązań, które mają tę wadę, że ich jeszcze nie ma. Wymuszenie rozwiązań, gdy są najbardziej potrzebne, bywa mało skuteczne. Stosowne rozwiązania mają właściwość pojawiania się poniewczasie. Nie należy się spodziewać, że nagle zostanie wynaleziona szczepionka, która uchroni zdrowych przed zachorowaniem. Powstawanie takiej to lata pracy, okupione wieloma niepowodzeniami.

Jest nadzieja, że oprócz świadomego działania uczonych medyków, okaże się przez przypadek, iż istnieje już lek wspomagający chorych od koronawirusa, który stosowany jest przy leczeniu innych schorzeń. Często latami pracuje się nad specyfikami, który ma służyć przeciw czemuś, ale w efekcie okazuje się bardzo skuteczny na zupełnie coś innego, *vide*: viagra. Wyraźnie powiedzmy: ta nadzieja równa się szczęśliwemu zrządzeniu losu.

Właściwszym kierunkiem poszukiwań armat na tę wojnę zdało się mi spojrzenie w przeszłość, gdzie znajdować się mogą jakieś rozwiązania.

Doniesienia prasy światowej wskazują na to, że poważni uczeni, ale także tacy, którzy z całą pewnością do nich nie powinni się zaliczać, wpadają na nowatorskie oraz zdaje się również szalone pomysły. Lecz nie należy nawet tych wariackich idei ignorować.

Weźmy choćby opisany przez moje-go znakomitego kolegę redakcyjnego

Bijcie w dzwony, ateści

Gigahercem w epidemię.

3 tygodnie temu pomysł zalecający onanizm. Masturbacja dzięki pobudzeniu ośrodków przyjemności powoduje wydzielanie dopaminy, obniżającej stres, co zwiększa odporność organizmu na wszelki ból. Nadającą za tą poradą, stosując metodę nawet 2–6 razy dziennie. Nadal jestem zdrowy, wykluczyć więc nie można, że z tego powodu. Jest to jednak cały czas stawianie barykad. A tu trzeba strzelać z „Aurory” do tych mikrofaszystów!

Czas rozbijać molekuły

Nie wiem, skąd wiem, bo kojarzę informację z zamierchłości, że w czasach zarazy w średniowiecznej Europie bito w kościelne dzwony i wznoszono modły. Od tego zarazy ustępowały. Być może czytałem o tym w historycznej beletrystyce. Być może w poważniejszym czasopiśmie, np. w „Młodym Techniku”. W każdym razie publikacja była rzetelna, bo wydana za komuny, a wtedy cenzura lipy nie puszczała. Wyjaśniano w tym artykule mechanizm tego fenomenu: dźwięki dzwonów, z fizycznego punktu widzenia fale akustyczne rozchodzące się w powietrzu, o szerokiej rozpiętości, od infra do ultradźwięków, uśmiercały bakterie i wirusy powodujące epidemie.

Obecnie w tym przedmiocie wiadomo już bardzo dużo. Ultradźwięki o częstotliwościach niesłyszalnych dla ludzkiego ucha (te, które również emitują serca dzwonów bijące o płaszczyźnie) używane są do odkażania biologicznego wody, np. w basenach oraz tej wypełniającej zbiorniki balastowe okrętów. Proces ultradźwiękowej dezynfekcji polega na generowaniu fal, które przy odpowiedniej mocy powodują silne siły ściskające i rozprężające w płynach znajdujących się pod płaszczyznami ochronnymi mikroorganizmów. Ciecze przechodzą gwałtownie w stan gazowy. Gaz ma dużo większą



Fot. MARCIN BONDAROWICZ

objętość niż płyn, z którego powstał. Nazywane jest to kawitacją. Gwałtownie rozprężający się gaz rozsądza białkowe powłoki zewnętrzne nicieni, bakterii i wirusów. Od tego giną.

Producenci takich urządzeń twierdzą, że skuteczność wynosi 100 proc. Jest to prawda, tyle że ludzie to nie ryby, a szwadrony wirusów atakują nas, przemieszczając się w powietrzu. Nie praktykowano też tej dezynfekcji w sytuacji, gdy w basenach przebywali ludzie.

Biofizycy jednak w swoich badaniach nad niszczeniem drobnoustrojów za pomocą wibracji akustycznych osiągają też pewne rezultaty, opierając się na nieco innych rozważaniach teoretycznych. Organiczne związki chemiczne, z których zbudowane są wirusy, składają się z molekuł, a te z atomów. Każdy atom jest swego rodzaju mikrogeneratorem. Elektron wirujący wokół jądra atomowego mają swoją częstotliwość. Połączone w molekuły oraz bardziej rozwinięte struktury, także biochemiczne, posiadają wypadkową częstotliwość. Jeżeli na zasadach

rezonansu amplituda drgań rośnie, rozerwane zostają wiązania międzycząsteczkowe i molekula się rozpada. Efekt powstaje w rezultacie bombardowania molekuł taką samą częstotliwością, jaką posiadają, ale o nieco większej energii. W momencie nałożenia się na siebie obydwu częstotliwości, rezonans o wiele większej sile niż posiadają obydwie źródła drgań, rozbija cząstkę.

Problemem jest określenie owej naturalnej częstotliwości molekuły, która będąc wypadkową drgań atomów różnych pierwiastków związku chemicznego, dla każdego związku jest inna. Można ją oczywiście teoretycznie wymodelować matematycznie i następnie obliczyć. W praktyce nadal stosuje się metodę prób i błędów.

Obecnie efektem rezonansowym udaje się rozbijać molekuły substancji tworzące tzw. kapsydy – powłoki zewnętrzne

wirusów. Rozszczepienie atomów w molekułach kapsydy prowadzi do dezaktywacji wirusa.

Fala akustyczna naszym orężem

Tyle naukowego bełkotu. Posłużmy się teraz zdrowym chłopskim rozumem. Skoro średniowieczne kościelne dzwony, emitujące fale akustyczne szerokiej rozpiętości, były w stanie niszczyć drobnoustroje ówczesnych epidemii, zapewne najlepiej byłoby zbadać dzwon z tamtego okresu. Następnie skonstruować generator dźwięków oraz przetwornik elektroakustyczny (mówiąc mniej uczenie – głośnik), który emitowałby fale o tożsamym co dzwon zakresie i zwiększonej mocy. Pośród nich muszą znajdować się te uśmiercające mordercze drobnoustroje. Jest to możliwe. Ba, być może nawet produkowane są podobne urządzenia, tyle że na odnalezienie, wdrożenie, przetestowanie oraz pomiar skuteczności takich rozwiązań możemy nie mieć czasu.

Ale przecież nadal jednak mamy w kościołach dzwony. Nie będąc dzwo-

nologiem, nie wiem, na ile ich konstrukcja oraz materiał, z którego zostały odlane, różni się od tego używanego w średniowieczu. Zakładam jednak, że technologia ludwisarska nie zmieniła się aż tak bardzo od stuleci.

Wypróbujmy więc metody przodków, którzy nawet o tym nie wiedząc, że zabijają drobnoustroje, urządzali im w odwecie nieświadomy holokaust, waląc w dzwony.

Może akurat mamy szczęście. Może współczesne dzwonnice wyposażone są w sprzęt, który akurat emituje fale o tej długości i mocy, że są w stanie spowodować kawitację, która zagotuje ciecz w podskórnej warstwie koronawirusa i spowoduje jego eksplozję, lub ten tam rezonans struktury molekularnej w kapsydzie, że koronawirusy zdezaktywuje.

Proponujemy zatem, aby uderzyć w koronaparchy dzwonami. Panowie proboszczowie! Stajecie przed dziejową szansą dla ludzkości i chrześcijaństwa. Raz dziennie! Przez 3 kwadransy! Bez przerwy! Napierdalacie dzwonami, aby każdy drobnosukinsyn na ziemi i w powietrzu, zagnieżdżony w ciuchach i opadły na siedzenia autobusów, rozpadł się i poległ. Niech rozzdwońią się dzwony w całej Polsce, aby mefistofeliczny gość z konfucjańskich Chin odszedł na zawsze!

Czy to pomoże? Do końca tego nie wiemy i nikt tego nie wie. W każdym razie niewiele kosztuje i warto spróbować.

Problem jest teraz po stronie episkopatu. Czy politycznie słusznym jest postępować według wskazań i wytycznych jakiejś obrażającej bożię gazetki?

Oczywiście lepiej by było dla Was, aby ta publikacja ukazała się w „Gościu Niedzielnym”. Ale się nie ukazała. Dzwonicie, czarne dzwonicie!

ROBERT JARUGA

Źródła wykorzystane w publikacji, m.in.:
– witryna sieciowa Hielscher Ultrasonics GmbH, link: <https://www.hielscher.com>
– Katarzyna Miłowska, Katedra Biofizyki Ogólnej, Uniwersytet Łódzki, praca „Ultradźwięki – mechanizmy działania i zastosowanie w terapii sonodynamicznej”
– David Clark „Zarazki, geny a cywilizacja”
– portal „Live Science”; artykuł: „New Way to Kill Viruses: Shake Them to Death”, link: <https://www.livescience.com/7472-kill-viruses-shake-death.html>

Moskwa nie wierzy w zarazę.

Jak słusznie zauważył wicepremier naszego rządu Jarosław Gowin, są szpitale dla ciała, ale są też równie ważne, a może nawet ważniejsze szpitale dla duszy, czyli świątynie. Cerkiew prawosławna twardo trzyma się tej zasady. Wytoczyła swoje najpotężniejsze armaty – ikony.

Marynarze nie całują ikony

W Soborze Kronsztadzkim wystawiono główną ikonę sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej – „Zbawiciel Nie Ludzką Ręką Uczyniony”. Przy ikonie odbyły się nabożeństwa, na które marynarzy przyprowadzano grupami po 50 osób. To ze względów na rygory kwarantanny. Przeor klasztoru zapewnił, że przestrzegane są wszystkie reguły sanitarne, dlatego ikona przecierana jest szmatką nasączoną spirytusem. Jest to konieczne, bo obrzędowość prawosławna wymaga tzw. przyłożenia. Ikonę trzeba pocałować, co jest w Rosji powszechne i stanowi głęboki wyraz wiary.

Okazało się, że duch buntu, który w 1917 r. objawił się w postaci powstania kronsztadzkiego przeciw bolszewikom, w historii ZSRR nazywanego kontrrewolucją, nie wygasł i spora grupa kronsztadzkich matrosów odmówiła całowania ikony, mimo zachęcającej woni spirytusu.

Koronawirus tylko dla wątpiących

Do Soboru Kazańskiej Ikony Matki Bożej w Petersburgu, zwanego krótko Soborem Kazańskim, przywieziono aż z Izraela relikwie św. Jana Chrzciela. Od rana ustawiały się kolejki chętnych do ucałowania zdobionej skrzynki z relikwiami. Dziennikarka moskiewskiego pisma „Nowaja Gazeta” Irina Tumakowa stanęła w kolejce. Ledwie stanęła, podeszła do niej jakaś staruszka i poprosiła, żeby zająć jej miejsce, a sama usunęła się na bok.

Śliną chrzczeni

Tumakowej przypomnieli się młodzieńcze lata spędzone w radzieckich czasach, gdy w sklepie tłum ludzi chciał kupić mięso, dostępne zresztą tylko na kartki. Wówczas także zajmowano sobie miejsca w kolejkach.

Ogonek chętnych do ucałowania skrzynki z relikwiami rósł z minuty na minutę. Kto w nim stał? Wszyscy – młodzi i niemłodzi, mężczyźni i kobiety, niektóre prowadziły za rączkę dzieci albo wiozły je w wózkach.

– Wcale nie jest niebezpiecznie – klarowała dziennikarce niewiasta w berecie, ręcznie zrobionym na drutach. – Czy Bóg pozwoli nam się zarazić? Zapewniam, że nie pozwoli. Tak że, obywatelko, stojcie spokojnie.

– Nie ma żadnego wirusa – włączyła się do rozmowy młoda kobieta. – Nie ma go dla nas, ludzi wierzących. Jeśli wierzyć, że Jan Chrzciel ochrzcił Jezusa, wszystko będzie normalnie. Jeśli natomiast macie co do tego wątpliwości, może rzeczywiście lepiej tu stać.

Obok grobowca słynnego generała Kutuzowa dziennikarka trafiła na stoisko, nad którym widniał napis: „Konsultant do spraw pytań religijnych”.

– Koronawirus? – pytanie dziennikarki zdziwiło konsultanta.

– To jakaś głupota. Wcześniej ludzie też umierali na różne choroby. Nic nowego. A od czasów Chrystusa liczni ludzie czczą Jana, który go ochrzcił.

– Proszę zwrócić uwagę – dodał konsultant – jak wielu ludzi na Rusi nosi imię Jan. Nieprzypadkowo.

Im chodzić zakazano

W trudnych chwilach Cerkiew prawosławna prowadzi procesje z krzyżami, ikonami i chórkami. U nas procesje koronawirusowe się nie przyjęły. Księdzu Mirosławowi Matuszemu, który obchodził ulice Lublina z relikwiami św. Antoniego w intencji oddalenia zarazy, arcybiskup zabronił tych praktyk.

Mnichom z Wysoko-Pietrowskiego Klasztoru w Moskwie nikt nie zabrania chodzić. Codziennie odbywa się procesja wokół klasztornej muru, ale – jak zauważa agencja Interfax – zachowywane są odstępy między kroczącymi zgodnie z zaleceniami władz sanitarno-epidemiologicznych.

Nie doszła jednak do skutku procesja w Lipiecku. Przegrała – aż strach o tym pisać – z koronawirusem. Wierni ze Stowarzyszenia Świętych Męczenników Carskich (chodzi o rodzinę Romanowów) chcieli urządzić pielgrzymkę samochodową w intencji zwalczenia pandemii. Niestety w Lipiecku pojawili się pierwsi zarazi, ogłoszono stan podwyższonej gotowości epidemiologicznej i zakazano przeprowadzania procesji nawet w samochodach.

Cerkiew ciągle otwarta

Kościół katolicki, być może pod wpływem rad papieża Franciszka, od pewnego czasu namawia wiernych do korzystania z łączności elektronicznych. Kościół w Polsce nieco opornie przyłącza się do tej tendencji, a w eksperymentalnym przyjmowaniu ofiary na tacę za pomocą kart płatniczych zawsze był prymusem.

Cerkiew prawosławna wyklucza aktywność online. Wystarczyło, że gubernator Petersburga coś bąknął o zamykaniu świątyni, żeby hierarchowie podnieśli krzyk: „To łamanie konstytucji!”.

Znajomi z miasta nad Newą, z którymi jestem w telefonicznym kontakcie, komentują to krótko: „Bład, jak coś mogłoby ich trzepnąć po kieszeni, nagle przypomnieli sobie, że istnieje jakaś konstytucja”.

Duda jak Putin

To naturalne, że w chwilach zagrożenia ludzie uciekają się pod opiekę kogoś mocnego. Na szczęście dla Polaków i Rosjan ratunek mogą znaleźć u ojców narodów, a niekoniecznie u samego Boga. Tak się złożyło, że obaj prezydenci – Władimir Władimirowicz Putin i Andrzej Sebastian Duda – są ludźmi wybitnymi, odważnymi, takimi, na jakich można liczyć w trudnych czasach. Sporo ich zresztą łączy.

Na przykład lotnictwo. Putin siadał za sterami odrzutowego samolotu wojskowego. Duda na trawniku machał ręką do przelatujących nad Białym Domem myśliwców F-35. Putin szybował na lotni w kluczcu żurawii, Duda jak jastrząb poszybował w powietrzu i złapał komunikant, który wiatr wyrwał z dłoni kapłana, ratując w ten sposób hostię przed zbrukaniem na ziemi.

Obaj prezydenci bezkompromisowo walczą teraz z koronawirusem. Duda odwiedził pracowników Orlenu, produkujących płyn do odkażania. Co prawda zapomniał sprawdzić, dlaczego w tak małych ilościach dociera (o ile w ogóle dociera) do stacji benzynowych, gdzie miał być sprzedawany, ale w tych trudnych czasach nie to należy do głowy państwa. Putin posunął się dalej, bo z gospodarską wizytą odwiedził szpital zakaźny. Ubrany był w rzucający się w oczy złoty strój ochronny. Malkontenci (tych nigdzie nie brak) zwrócili uwagę, że kombinezon był nieco inny niż białe, które przywdziała jego świta; trochę jakby szerszy. Ale co tam, prezydent dzielnie wdarł się między koronawirusy, które czmychały przed nim, jak – nie przymierzając – Macierewicz spod Smoleńska.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
w.mittelstaedt@op.pl

Chlup w zarazy dziób

Pijcie quarantini każdego dnia.

Gdy wpisze się w wyszukiwarkę zapytanie: „alkohol podczas...”, system podpowie: „okresu”, „diety”, „kp” (też nie wiedziałam, chodzi o karmienie piersią), „choroby”, „cięży”, „grypy”, „gorączki”, „treningu”, „biegunki” i „anginy”... Na najbardziej palące pytanie obecnej doby polska wersja Google odpowiada: „Nie znaleziono żadnych wyników wyszukiwania dla hasła »alkohol podczas kwarantanny«”.

Tymczasem świat pyta – i znajduje odpowiedzi. Wirtualne popijawy – „**quarantini hour**”, po francusku „**l'apéro numérique**” – zdobywają internet. Odizolowani w domach obywatele świata zachodniego nie rozstają się z przyjaciółmi, nie rezygnują z zawierania znajomości. Zamiast ponuro chlać do lustra, radośnie piją do laptopów.

„**Quarantini**” – to drink kwarantanny. Odmiana martini dry, ale bez martini, za to ze składnikami służącymi do podnoszenia odporności. Najczęściej

składa się z wódki lub dżinu, cytryny, miodu i witaminy C w proszku. Można rozpuścić ją w wodzie i wymieszać z gorzałą albo zrobić z niej tzw. crustę – czyli zwilżywszy brzegi kieliszka postawić go do góry dnem na talerzyku z posypką.

W charakterze posypki najczęściej występuje preparat Emergen-C, choć jego producent, Alacer Corp, wydał oświadczenie, brzmiące: „**Nie rekomendujemy łączenia naszych produktów z alkoholem**”.

Porady co do tego, jak zorganizować

„**wirtualne happy hour**” – wychodzące daleko poza przepis na quarantini – zapewniają nie tylko portale społecznościowe i niepoważne strony lifestyle.

Szczegółową instrukcję opublikował ostatnio „Washington Post”. Jak przystało na prestiżowy tytuł, promowanie ochłaj opatrzone było ideologią – „**Wszystko, co ułatwi nam przetrwanie najbliższych tygodni w dobrowolnej izolacji, pomaga pracownikom służby zdrowia i szpitalom liczącym na to, że dystans społeczny spowolni napływ przypadków koronawirusa**” – a także napomniem, że wirtualny melanz nie musi być procentowy („może to być spotkanie przy kawie, popołudniowa herbata albo w niektórych stanach nawet marihuanowe party”); ale w sumie jedna z najważniejszych gazet na świecie zaleca czytelnikom chłanie do kompa.

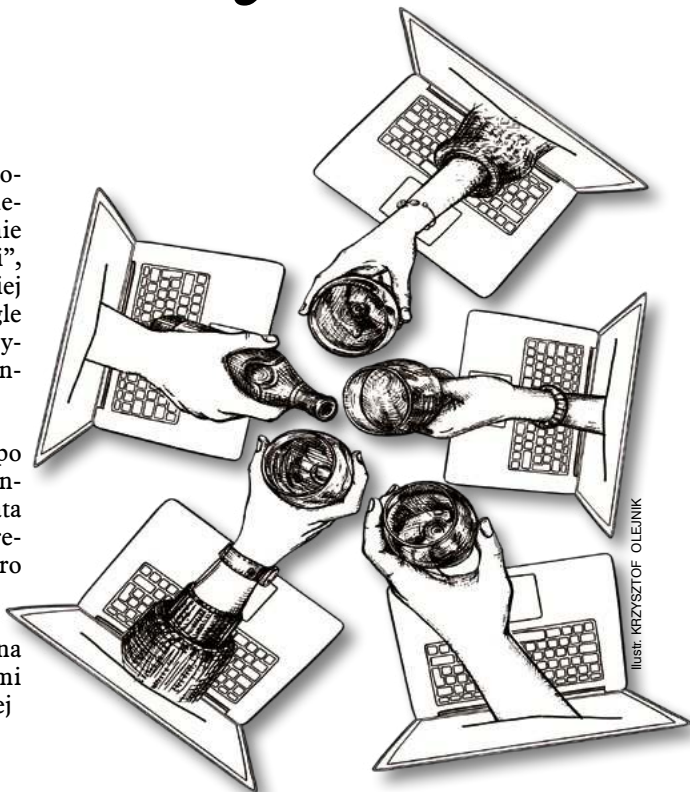
Wśród pionierów tej nowej formy życia towarzyskiego „Washington Post” wymienia Jennifer Kumiyamę – kalifornijską „Miss na wózek”, która dzięki występowi w reality show „Popstars” stała się celebrytką, z czego zrobiła nietypowo rozsądny użytek, angażując się w działania na rzecz osób z niepełnosprawnościami. Jennifer nakupiła wino i ogłosiła na Facebooku, że przyjmuje wirtualnych gości w sobotę między drugą a szóstą po południu. Helena Price Hambrecht, szefowa firmy produkującej hipsterski aperitif o nazwie Haus (białe wino, grapefruit, czarny bez, hibiskus), obwołała piątkowe popołudnia „godzinami wirtualnego aperitif”, łącząc za pomocą aplikacji Zoom kilkudziesięciu gości: znajomych, klientów i fanów jej Instagrama. Pisarka Dani Burlison z Santa Rosa w Kalifornii Północnej pomyśli przeniesienia zwyczajowego ochłaju z przyjaciółmi do netu wypróbowała już podczas kalifornijskich pożarów. Teraz postanowiła przenieść do przestrzeni wirtualnej swoje cotygodniowe warsztaty kreatywnego pisanie, które tradycyjnie odbywały się w whisky barze „U Jacka i Tony’ego”.

Z kolei „Forbes” z namaszczeniem opowiada historię Krisa Nelsona, dyrektora wykonawczego firmy zajmującej się technologią platform zarządzania danymi w marketingu cyfrowym o niepokojącej nazwie Srax. Srax przeżywa trudne chwile w związku ze spadkiem notowań, pracownicy martwią się o przyszłość swoją i firmy, i normalnie Kris zaprosiłby ich do baru na – jak czytamy w „Forbesie” – „**drinka dla podbudowania morale**”. Ale wobec pandemii postanowił zorganizować – dla 150 ludzi w pięciu oddziałach na całym świecie – wirtualną popijawę, sadzając każdego przed własnym laptopem. Sam zasiadł w biurze – tylko tam na sprzęt zdolny unieść połączenie konferencyjne na ponad stu osób – i nalał sobie „Jamesona”.

Do organizowania

wirtualnych melanzów używa się aplikacji, które dotychczas służyły do ponurych i irytujących telekonferencji, takich jak Zoom. Właściciel Zooma, miliarder Eric Yuan, wyznaje skromnie: „**Nigdy nie myślałem o takim użytku. Serio, nigdy. Ale naszą misją zawsze było łączenie ludzi w czasie rzeczywistym**”.

„Izolacja społeczna jest destrukcyjna, wywołuje problemy emocjonalne u ludzi, którzy przywykli do ciągłej interakcji z innymi ludźmi, zwłaszcza ekstrawertyków” – uzupełnia mądrze prof. Whitney Phillips z Uniwersytetu Syracuse.



Warto odnotować, że alkoholowy wymiar spotkań internetowych pojawia się czasem zniechęca. „Forbes” opowiada poruszającą historię niejakiej Fiony Chen, Chinki studiującej na nowojorskim uniwersytecie Fordham, która w wolnym czasie z zaangażowaniem śpiewa w uniwersyteckim chórze kościelnym Schola Cantorum. Wobec ograniczeń w poruszaniu się postanowiła zorganizować próbę chóru przez Zoom – atoli już w wstępie odbiła przed kompem flaszkę pino grigio i przez 3 godziny z dziewięciorgiem chóralnych przyjaciół upijała się przez net na smutno, „rozmawiając o swoich emocjach i uczuciach”.

„**Co nadejście cyfrowej happy hour może oznaczać w dłuższej perspektywie?**” – zapytuje „Forbes”. I odpowiada: „**Każdy, kto wziął udział w takim spotkaniu w zeszły weekend, wydaje się absolutnie zdecydowany, żeby jak najszybciej to powtórzyć**”.

Zjawisko nie jest wszakże ograniczone do świata anglojęzycznego. Z podobną powagą opisuje je „Le Monde” w publikacji zatytułowanej: „**Skypéro, coronanniversaire – sztuka picia w domu**”. Frankofoni namiętnie angażują się w wymyślanie nazw dla tej wzniosłej czynności: „**Skypéro**” to „**aperitif na skype**”.

„**coronanniversaire**” – połączenie koronawirusa z „anniversaire”, czyli urodzinami. Na Twitterze karierę robi hasztag #coronapéro – mariaż korony z aperitifem – którym użytkownicy opatrują dokumentację internetowego chłania z przyjaciółmi. „**4. dzień kwarantanny. Macron powiedział, że jesteśmy na wojnie, montujemy więc armię**” – głosi podpis pod jednym z takich zdjęć, na którym widać siedmiu gości z flaskami. Każdy pokazuje prezydentowi V Republiki gest Lichockiej.

Na Facebooku rządzi grupa „Premier apéro du confinement” („**pierwszy aperitif kwarantanny**”), do której w ciągu tygodnia zapisało się ponad 210 tysięcy ludzi. Cele grupy: „**Spotkać się w piątek, aby napić się wirtualnego drinka i okazać wsparcie personełowi medycznemu**”. Wsparcie okazuje się poprzez podzielenie się ze światem swoim selfie z kielonkiem, zrobionym w piątek o siódmej wieczorem.

Pewnym minusem

baru wirtualnego jest fakt, iż wybór drinków ograniczony jest do tego, co akurat mamy w domu. Co prawda niektóre bary na Manhattanie oferują klientom najpopularniejsze drinki na wynos, w plastikowych kubkach z rurką, zakręcanych słoikach albo malutkich buteleczkach – jak głosi tablica stojąca przed nowojorskim barem „Patent Pending”: „**Bądź bezpieczny. Pij w domu. Koktajle na wynos. To teraz legalne! Dzięki, COVID-19!**” – ale większość uczestników wirtualnych libacji polewa sobie samodzielnie. Choć nie bez pomocy z zewnątrz.

Derek Brown, właściciel waszyngtońskiego baru „Columbia Room” i autor wiekopomnego dzieła „Wódka, cukier, woda, likier – jak koktajl podbił świat” – zaprasza uczestników wirtualnego melanzu, żeby przysłali mu listę produktów z barku i lodówki. W zamian dostaną profesjonalną poradę, co z czym wymieszać i w jakich proporcjach, żeby dało się wypić. System wsparcia się na tym nie kończy. Specjaliści od komunikacji udzielają porad co do optymalnego czasu trwania i liczebności wirtualnych aperitifów, psychologowie zalecają tematy konwersacji, toczy się żywa dyskusja o tym, jaka aplikacja konferencyjna sprawdza się najlepiej do konferencyjnego chłania.

Australijski portal kulinarny „GoodFood” idzie krok dalej i zachęca do traktowania nowego obyczaju jeszcze bardziej serio: „**Quarantini hour może stać się naszą nową wielką tradycją. Zrób się na bóstwo i pij przez internet, aby uratować zdrowie psychiczne**”.

Czego sobie i Państwu życzę.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

Papierowe wieści

Z obojętnością podszedłem do przeczytanej ostatnio w internecie informacji, że 2 kolejne czasopisma – „Wprost” i „Do Rzeczy” – mają być wydawane wyłącznie w wersji cyfrowej. „Wprost” czytywałem swego czasu, ale to było bardzo dawno temu, natomiast jeśli chodzi o „Do Rzeczy”, to na podstawie lektury blogu wszystkich świętych Jerzego Urbana wiem tylko tyle, że pismo to powinno się raczej nazywać „Od Rzeczy”.

Ale gdy uświadomiłem sobie, że coś takiego może spotkać także „NIE”, to mina trochę mi zrzedła. Wprawdzie nic mi nie wiadomo, aby i „NIE” zamierzało zrezygnować z formy papierowej, ale lichy nie śpi i wolę dmuchać na zimne.

Zaryzykowałbym tezę, że zapotrzebowanie na „NIE” jest przykładem tzw. popytu sztywnego, który jest praktycznie biorąc niezmienny bez względu na cenę. Moja emerytura wynosi obecnie 2500 zł na rękę i bez zmruczenia oka zapłaciłbym za „NIE” 10 zł, a nawet więcej. Mam świadomość, że wielu czytelników ma niższe emerytury, ale jak ktoś czytuje „NIE” od lat, to kilku dodatkowych złotych na tydzień pewno by nie poskapił.

Jeśli już o emerytach mowa, to nie można zapominać, że wielu z nich nie używa komputera i edycja cyfrowa byłaby dla nich niedostępna. Dla mojego serdecznego przyjaciela, dobijającego już osiemdziesiątki Tośka byłaby to wręcz niewyobrażalna trauma. Kupując



w piątek kolejny numer „NIE”, ma on świetną rozrywkę do następnego piątku. Ostatnio np. zaśmiewał się przez wiele dni – a właściwie zaśmiewaliśmy się obydwaj – z rysunku Wiatera przedstawiającego trzymającą różaniec w rękach zakonnicę i głos z niebios: „Myj ręce, głupia cipo”. Udał się Wiaterowi ten rysunek, zresztą nie tylko ten.

Takich Tośków jest bez wątpienia znacznie więcej i choćby z tego względu przejście na formę cyfrową byłoby ze strony redakcji czynem nieetycznym. Bo tylko tak można określić pozbawianie człowieka prawa do śmiechu, rozrywki i w ogóle dobrej lektury. Pozwól sobie w związku z tym zaapelować, że gdyby w przyszłości temat edycji cyfrowej był przez redakcję rozważany, to przed podjęciem decyzji należałoby sprawę skonsultować z czytelnikami.

Zefir

Ekoapel

Świat stanął w miejscu. Miasta w Europie opustoszały. Samoloty przestały latać.

Wystarczył mały wirus i ludzie siedzą w domach, ograniczając aktywność społeczną do minimum. Wszyscy boją się koronawirusa. Co robić?

Zwalczyć wirusa i zacząć myśleć globalnie. Bo dzisiaj problemy, jakie nas dotyczą, można rozwiązać tylko razem, globalnie. Albert Einstein po II wojnie mówił, że powinien powstać rząd światowy. Może to już czas, aby stworzyć Stany Zjednoczone Świata.

Dużo się mówi o przeludnieniu naszej planety. Tendencje są złe, ludzi przybywa. W tej sytuacji musi być jednocześnie gorzej z przyrodą. Dla większej liczby ludzi trzeba jeszcze bardziej wyzyskiwać naszą Ziemię, która już pracuje na bezdechu. Uważam, że wal-

ka z ociepleniem klimatu, dbanie o ekologię, a przede wszystkim ograniczenie przyrostu ludzi to najważniejsze obecnie sprawy. Sam zresztą papież Franciszek mówił do wiernych, że „katolicy nie muszą się mnożyć jak króliki”. Moim zdaniem to najlepszy papież w historii Watykanu. Moja propozycja na ratowanie Ziemi i klimatu to posiadanie tylko jednego dziecka przez najbliższe 100 lat przez wszystkie rodziny na świecie. Wtedy ograniczylibyśmy liczbę ludzi do 3 miliardów. A to już pozwoliłoby przyrodzie, której jesteśmy częścią, na złapanie oddechu. Ekologia powinna stać się naszą nową religią.

Nie da się? No to czekajmy na kolejne wirusy, dla których nie ma granic, i kwękania, że się nie da. Przyroda się obroni, gorzej z nami.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

Pic

W związku z pandemią u mnie nic się nie zmieniło. Mam zajęcie w ogrodzie. Jak robiłem zakupy raz w tygodniu, tak robię dalej. Mięso to jedzą u mnie tylko zwierzaki (pies, kot). Zmiany klimatu obserwuję u siebie w sadzie i ogrodzie, gdyż rośliny „wariują” z powodu braku ostrej zimy już od kilku lat, przez co podejmują start do wegetacji już w lutym, a kolejna kalendarzowa wiosna niczym się nie różni od kalendarzowej zimy, gdy na przemian występują dni z temperaturami 10 stopni i ciepłymi nocami z dniami zimnymi i nocnymi przymrozkami do minus 10 stopni. Moim zdaniem po ustaniu pandemii ten gorszy dla klimatu wariant przewiduję, tzn. większą emisję gazów i intensywniejszą eksploatację zasobów planety (niszczenia jej). Gdyby pan-

demii udało się zmniejszyć populację planety o 1/3, to byłby to korzystny efekt dla klimatu. Co do działań naszego rządu, to jest to tzw. pic na wodę, fotomontaż. Do kopalń, które pracują pełną parą, przyjeżdżają pracownicy przewozem zorganizowanym bez żadnych ograniczeń liczby osób w środkach transportu. Na nadszymbiu przed zjazdem stoi 200–300 pracowników co zmianę, podobnie na podszymbiu do wyjazdu po zmianie. W czasie zjazdu w klatce (jedno-, dwu-, trzypiętrowej) zjeżdża po kilkadziesiąt osób na piętrze, stłoczonych jak śledzie w beczce. Są to ludzie jeżdżący do pracy codziennie z różnych kierunków z odległości do 100 km od kopalni. Nie są oni w żadnym aspekcie kontrolowani pod kątem możliwości rozprzestrzeniania wirusa.

Aleksander Kosior

Rebus 1: Życie byle nie jak w Madrycie.
Rebus 2: Za kłamanie Morawiecki nic z Unii nie dostanie.

R E K L A M A

www.tygodnikprzeglad.pl

**E-WYDANIE
NIE ZARAŻA**

Do kupienia za **2,99 zł**
na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

W CZASIE PANDEMII
**WSZYSCY SA
SOCJALISTAMI**

ODKŁAMANIA

Koronawirus zaburzył obchody wielkich rocznic 1920 r. Zepchnął je w cień. Ale wcześniej czy później wróć. Warto je przypominać, aby propaganda nie brała góry nad historią rzeczywistą. Właśnie teraz mija 100 lat od decyzji Józefa Piłsudskiego o marszu na Kijów. Decyzji wtedy i później spornej, kwestionowanej przez najsilniejszą ówczesną polską partię polityczną, Narodową Demokrację Romana Dmowskiego.

Przygotowania do tej wyprawy Piłsudski zarządził w marcu 1920 r. Później uzasadniał to względami prewencyjnymi, czyli chęcią uprzedzenia spodziewanego ataku Rosji bolszewickiej na Polskę. Był to jednak argument *ex post*, w 1920 r. jeszcze nieobecny. Po dziesięcioleciach we współczesnej polityce historycznej ten prewencyjny cel wyprawy kijowskiej uchodzi za pewnik. Wspierać go mają mityczne, a przynajmniej zdecydowanie nadinterpretowane ustalenia wywiadu polskiego, który złamał radzieckie kody wojskowe. Sam Piłsudski o takich rewelacjach w swych licznych publikacjach o 1920 r. nie wspomina. Jak sprawy się miały w rzeczywistości?

• • •

Dzisiejsi wielbicieli wyprawy kijowskiej i cudu nad Wisłą tylko bardzo pobieżnie zajmują się preludium tych wydarzeń. A miało ono fundamentalne znaczenie. Pod koniec 1918 i na początku 1919 r. wojska niemieckie, okupujące na mocy traktatu pokojowego z Rosją z 3 marca 1918 r. całą Białoruś i Ukrainę, wycofywały się w wyniku postanowień rozejmowych kończących wojnę światową (pkt 6 deklaracji prezydenta Wilsona). W ślad za nimi posuwała się bolszewicka Armia Czerwona, rozciągając na te tereny władzę Rosji Radzieckiej. Piłsudski nakazał ten marsz Armii Czerwonej powstrzymać na Białorusi i Wołyniu. Powstała linia mało aktywnego frontu w wojnie o granicę. Walki zbrojne wybuchły sporadycznie; po obu stronach zaangażowanych było po kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy, obydwa państwa miały na razie ważniejsze i pilniejsze kłopoty. Jednocześnie z tymi działaniami toczyły się w Mikaszewiczach na Polesiu rozmowy pokojowe. Oficjalnie jako rokowania humanitarne Czerwonego Krzyża, ale w rzeczywistości dotyczyły także spraw politycznych. W rokowaniach tych strona radziecka proponowała pokój i porozumienie graniczne na linii nieco dalej na wschód niż późniejsza wynegocjowana w Rydze po wojnie 1920 r. W ciągu pierwszych dwóch lat po objęciu władzy bolszewicy Lenina nie wykazywali tendencji zabórczych wobec Polski. Odwrotnie – Lenin kilkakrotnie wypowiadał się za niepodległością (oderwanie się od Rosji) dwóch narodów: fińskiego i polskiego. Z Finlandią zawarł odpowiednie porozumienie już pod koniec 1917 r. Z Polską sprawa się skomplikowała.

Gdyby władza w Polsce znajdowała się wtedy w ręku Narodowej Demokracji, prawdopodobnie pokój zostałby zawarty i linia graniczna wytyczona. Piłsudski jednak wołał prowadzić niezbyt aktywną wojnę i czekać na rozwój wydarzeń w Rosji ogarniętej wojną domową.

• • •

Polityka wschodnia i wynikające z niej poglądy na sprawę granicy wschodniej były w tym czasie przedmiotem gorących sporów w polskiej klasie politycznej. Społeczeństwo żywiło wciąż silną nostalgię po granicach przedrozbiorowych, kiedy do państwa polsko-litewskiego należała cała Białoruś i połowa Ukrainy z Kijowem po Dniepr. Politycy zdawali sobie sprawę, że uzyskanie takich granic jest już niemożliwe. Wilson w swej deklaracji obiecywał niepodległość tylko w granicach etnicznych. Endecy realistycznie proponowali ograniczyć rewindykację terytorialne do obszarów z silną polską mniejszością, zdolną asymilować inne narodowości. Spora część ówczesnej klasy politycznej, skupiona wokół Piłsudskiego, hołdowała jednak innej koncepcji. Dążyła do zachowania polskich wpływów i polskiego stanu posiadania w gospodarce (wielka własność rolna) na wszystkich ziemiach przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Politycznie w postaci sprzymierzonych z Polską państw – litewskiego, białoruskiego i ukraińskiego. Ta koncepcja okazała się bardzo trudna do urzeczywistnienia. Głównie z powodu partnerów. Z budzącą się do niepodległego bytu Litwą Polska była skonfliktowana sporem o Wilno. Na Białorusi praktycznie nie było liczącego się ruchu niepodległościowego. Na ziemiach ukraińskich ruch taki przejawiał się najsilniej we wschodniej Galicji, ale stoczył tam i przegrał krwawą kilkumiesięczną wojnę z Polską zaraz po zakończeniu wojny światowej.

Na Ukrainie właściwej, nad Dnieprem, ruch narodowy był słaby. Wszystkie formowane tam po załamaniu się carskiej Rosji rządy, formalnie ukraińskie, egzystowały jedynie dzięki obcemu poparciu. Były generał carski Paweł Skoropad-

Wstęp do cudu na Wisłą

Po co Piłsudski szedł na Kijów.



Ilustr.: WŁODEK KERUS

ski, który wiosną 1918 r. obwołał się hetmanem Ukrainy, rządził pod protekcją wojsk niemieckich i wraz z nimi pod koniec roku opuścił Ukrainę. Kolejny dyktator, dziennikarz socjaldemokratyczny Symon Petlura, który sprawował władzę w strukturach tzw. Dyrektoriatu w 1918 r. i wiosną 1920 r. bazował na poparciu aliantów zachodnich oraz Polski. Konkurencyjne „czerwone”, radzieckie władze na Ukrainie pozostawały w całkowitej zależności od Moskwy. Chłopi ukraińscy, 80 procent ludności kraju, zainteresowani byli w tych latach głównie rewolucją agrarną, rewindykacją i podziałem ziemi obszarowej. Ich stosunek do zmieniających się władz politycznych zależał od tego, czy sprzyjały one parcelacji majątków obszarowych, czy też jej zabraniały. W tej konkurencji wygrywali czerwoni przed białymi, a Rosja bolszewicka przed Polską i innymi państwami.

• • •

Prof. Jarema Maciszewski w jednym ze wspomnień opisał perypetie swojego dziadka zarządzającego dużym polskim majątkiem na Ukrainie. Gdy nastąpiła rewolucja agrarna, wiec chłopski postanowił podzielić ziemię folwarczną i rozstrząsać los pana. Uznali, że

dziadek Maciszewskiego był panem dobrym i sprawiedliwym, a mimo to postanowili go zabić. Dla jego dobra, aby pozbawić warunków, w jakich żył, nie męczył się i nie cierpiał. Orzekli, że do nowej sytuacji się już nie przyzwyczai. Uratował Maciszewskiego wiejski mędrak, który speszzył chłopów pytaniem: a skąd wiecie, że się nie przyzwyczai. Dajcie mu rok i zobaczmy, jak nie przywyknie, to wtedy zabijemy.

Tak zrobili, tyle że starszy pan nie czekał roku, lecz przy pierwszym zawirowaniu politycznym ewakuował się do Polski i osiadł z rodziną w Brwinowie pod Warszawą. Ówczesna chłopska Ukraina nie była Polakom przychylna.

• • •

Wiosną 1919 r. sytuację wojskową i polityczną skomplikowała ofensywa antybolszewic-

kiej Armii Ochotniczej gen. Antona Denikina. Wspierana i dozbrajana przez Francję i Stany Zjednoczone zyskała duże powodzenie. Wychoząc od wybrzeża Morza Czarnego, Denikin opanował Ukrainę i latem stanął w odległości kilkudziesięciu kilometrów od Moskwy. Atutem jego okazało się przejściowe zachwianie nastrojów chłopskich. Wskutek restrykcji komunizmu wojennego i konfiskat zboża przez oddziały rewolucyjne chłopów zwątpili w przychylność czerwonych. Denikin szybko te nastroje zgasił, gdyż nie pozostawiał wątpliwości, że rewolucję agrarną zamierza anulować. Gdy to się wyjaśniło, sukcesy militarne Denikina się załamały – jesienią 1919 r. został pokonany. W czasie jego sukcesów mocarstwa zachodnie zachęcały Piłsudskiego, aby wsparł zbrojnie tę fazę krucjaty antybolszewickiej. Piłsudski po zorientowaniu się, że w denikinowskich planach odbudowy imperium rosyjskiego nie mieści się niepodległość Polski, w każdym razie na terytorium większym niż dawne Królestwo Kongresowe, zachował neutralność. Nawet więcej – jak pisze Władysław Serczyk w „Historii Ukrainy” – zawarł ze stroną radziecką niepisane porozumienie o wstrzymaniu się od działań zaczepnych na czas wojny z Denikinem. To wsparcie bolszewików, które uchroniło ich od klęski, wypominał Piłsudskiemu długo po wojnie sam Denikin, a także polscy konserwatyści (Józef Mackiewicz), którzy oskarżali go też o sprzeniewierzenie się interesom obrony polskiego stanu posiadania na wschodzie.

• • •

W grudniu 1919 r. rozmowy w Mikaszewiczach zostały przerwane. Radzieckie propozycje przedłużenia rozejmu Piłsudski odrzucił. Domagał się od Rosji Radzieckiej bezwzględniego poszanowania niepodległości Ukrainy i poniechania ataków na siły zbrojne Dyrektoriatu Ukraińskiej Republiki Ludowej (Symona Petlury), utrzymujące kontrolę nad skrawkiem ziemi ukraińskiej przy granicy z Polską. Rosjanie te żądania zignorowali. Ruszyły przygotowania do wojny, w istocie niezbyt wielkimi siłami. Ze strony polskiej skoncentrowano na Ukrainie około dwustu tysięcy żołnierzy, dowództwo Armii Czerwonej zaś skierowało w Naddnieprze 150 tysięcy.

• • •

Rozpoczęcie działań wojennych poprzedziła seria porozumień z Dyrektoriatem. Umowa rozejmowa została podpisana 1 września 1919 r., umowa polityczna 21 kwietnia 1920 r., a konwencja wojskowa 4 dni później. Na mocy tych porozumień Polska uznała Dyrektoriat za prawowity rząd Ukrainy i w sojuszu z nim rozpo-

częła wojnę o wyparcie bolszewików z Ukrainy. Nie był to jednak sojusz równoprawny. Polska w nim wyraźnie dominowała. W chwili rozpoczęcia wojny Petlura dysponował siłami zbrojnymi liczącymi około 8 tysięcy żołnierzy, a po jej zakończeniu niewiele ponad to. Rozpoczęła się nie tyle narodowowyzwoleńcza wojna Ukrainy z Rosją, wspomagana przez Polskę, ile wojna polsko-radziecka o Ukrainę, wspomagana przez niewielkie siły Petlury. Operacje zaczepne rozpoczęto 25 kwietnia. Nazajutrz wojska polskie zajęły Żytomierz, Winnicę, a na północy Czarnobyl i zbliżyły się do Kijowa. Wobec niekorzystnej sytuacji dowódca broniącej miasta 16. armii radzieckiej zdecydował nie podejmować walki, lecz wycofać się. 6 maja dywizje armii Rydza-Śmigłego stanęły u rogatek Kijowa. Pierwszy patrol polski pojechał do miasta tramwajem. Po zorientowaniu się, że bolszewicy je opuścili, wkroczyły główne siły i 9 maja odbyły na Kreszczatyku defiladę zwycięstwa.

• • •

Sukces ten był jednak nie do utrzymania. Nie ze względu na siłę Rosji Radzieckiej. Było to wtedy państwo militarne słabe, wciąż nie uporało się do końca z wojną domową, Rosja mogła wystawić na froncie zachodnim siły mniej więcej równoważne polskim. Klucz do sytuacji był na Ukrainie. Andrzej Garlicki w monografii „Józef Piłsudski” tak to ujął: Piłsudski spodziewał się, że zajęcie Kijowa wywoła na Ukrainie powszechną aprobatę dla Dyrektoriatu i Petlury, że zacznie się napływ ochotników do ukraińskiej armii narodowej. Tymczasem „koncepcja ta całkowicie zawiodła. Wkraczające na Ukrainę oddziały polskie traktowane były przez ludność jako kolejne po niemieckich i denikinowskich, oddziały okupacyjne”. Chłopska Ukraina odmówiła Petlurze rekruta i chleba, nie skąpiła zaś jednego i drugiego armii bolszewickiej.

Polskę początkowo ogarnął entuzjazm. Wracającego z frontu Piłsudskiego 18 maja Warszawa witała tłumnie na ulicach, nabożeństwami w kościołach, uroczystą sesją Sejmu. Wyprzęgano konie z jego powozu, by samemu go ciągnąć. „Gdy ulica warszawska obrzucała zwycięskiego Wodza kwiatami” – pisze Garlicki – „już od czterech dni na froncie trwała ofensywa radziecka na Białorusi, zmuszająca wojska polskie do odwrotu”. 12 czerwca Kijów został opuszczony i rozpoczął się szybki odwrót wojsk polskich z Ukrainy. Wojna polsko-radziecka, pozostając nadal wojną o Ukrainę, przekształciła się na kilka miesięcy w wojnę o Polskę, o jej niepodległość. Ku zaskoczeniu Piłsudskiego. Ale to już inny temat.

M.Z.

Zawodów sportowych nie ma. Treningi się nie odbywają. Życie sportowe jednak nie zamarło.

Świeża wiadomość. Na emeryturę postanowił przejść 72-letni trener Aleksander Wierietielny. Czy trzeba go przedstawiać? Z nim związane są największe sukcesy biegaczki narciarskiej Justyny Kowalczyk, a wcześniej biathlonistów, ze złotym medalistą olimpijskim Tomaszem Sikorą na czele. Urodzony w fińskim Prakkala-Udd Białorusin, który uważa się za Rosjanina, a od 1983 r. mieszka w Polsce i ma polskie obywatelstwo, niemal dokładnie rok temu został głównym trenerem kadry narodowej biegaczek. Na jego asystentkę powołano Justynę Kowalczyk. Wcześniej przez lata duet Kowalczyk-Wierietielny uczestniczył w zawodach. Obserwatorów wydarzeń sportowych zdumiewała nie tylko liczba ich sukcesów, ale także fakt, że trener i zawodniczka, oboje obdarzeni niezwykle silnymi charakterami, potrafili tak długo ze sobą wytrzymać.

W rezygnacji Wierietielnego nie ma żadnej sensacji. Po prostu po roku doszedł do wniosku, że to już nie ten wiek, gdy mógł bez reszty oddać się zawodowemu zajęciom. Wydawałoby się, że jego naturalną następczynią będzie wychowana przez niego multimediastka olimpijska i mistrzostw świata Justyna Kowalczyk, tym bardziej że obroniła pracę doktorską na Akademii Wychowania Fizycznego poświęconą właśnie treningowi biegów narciarskich. Kowalczyk otwarcie jednak powiedziała, że owszem, całkiem nie zamierza od sportu odchodzić, ale pragnie teraz więcej czasu dla siebie. Chce normalnie pożyć, jak każdy człowiek, którego życie nie jest od rana do nocy i przez wszystkie dni w roku podporządkowane treningom. Zostanie przy biegach narciarskich, ale tylko na pół etatu. Główny ciężar odpowiedzialności musi wziąć na siebie ktoś inny. Wyrzuciła nadzieję, że przy kadrze zostanie grupa estońskich specjalistów od smarowania nart, którzy też mieli udział w sukcesach.

Czy uda się stworzyć silny sztab szkoleniowy? To ważne, bo już po roku pracy duetu Kowalczyk-Wierietielny okazało się, że przed tą dyscypliną w Polsce jest przyszłość. Monika Skinder i Izabela Marcisz sięgnęły po medale podczas mistrzostw świata juniorek.

Nic nie słysząc, żeby za rezygnacją Wierietielnego i połowiczną dymisją Kowalczyk kryły się jakieś tajemnice, żeby było tzw. drugie dno. To naturalna kolej rzeczy. Inaczej sprawy się mają w lekkoatletyce.



Ilustr. WŁODEK KIERUS

Wrzód młotem

Włodarczyk porzuca, albo porzucona

Jeśli można o którymś spośród reprezentantów Polski mówić jako o zdecydowanym faworycie igrzysk olimpijskich, które, jak już wiadomo, odbędą się w przyszłym roku, to tylko o Anicie Włodarczyk. Dwukrotna mistrzyni olimpijska (z Londynu i z Rio de Janeiro), czterokrotna mistrzyni świata i rekordzistka naszego globu w rzucie młotem, szykowała się do występu w Tokio pod okiem trenera Krzysztofa Kaliszewskiego. Współpraca gwałtownie się skończyła. Pretekstem okazała się pandemia koronawirusa, ale nieporozumieniem byłoby zwalanie winy na bakcyła.

Pandemia zastała zawodniczkę i jej trenera w USA. Włodarczyk – zgodnie z zaleceniem polskich władz sportowych – wróciła do kraju. Kaliszewski postanowił, jak twierdzi z przyczyn rodzinnych, opóźnić powrót. Później miał zaproponować lekkoatletce treningi online, na co ona się nie zgodziła. Kto z kogo zrezygnował – zawodniczka z trenera czy trener z zawodniczki?

Prezes Polskiego Związku Lekkiej Atletyki Henryk Olszewski stawia sprawę jasno: „**To trener ją porzucił, a nie Anita trenera**”. I dodaje, że szybko trzeba będzie poszukać dla multimediastki nowego szkoleniowca.

Sprawa chyba nie jest aż tak bardzo jasna, jak twierdzi prezes. Mistrz olimpijski i mistrz świata w rzucie młotem Szymon Ziółkowski zapoznał się z tłumaczeniem obu stron i ma

sporo wątpliwości. „**Trener i Anita Włodarczyk operują ogólnikami, a to podpowiada, że publicznie odkryli tylko wierzchołek góry lodowej. Tam musiał być jakiś spór albo inny problem. Normalnie nikt nie powziąłby takiej decyzji tuż przed zakończeniem kariery, zwłaszcza że mówimy o rekordzistce świata i mistrzyni olimpijskiej**” – stwierdził Ziółkowski w rozmowie z dziennikarzem „Przeglądu Sportowego” Michałem Chmielewskim. I dodał: „**Taka relacja jak ta Włodarczyk z Kaliszewskim zdarza się bardzo rzadko, ale o ile przyniosła mnóstwo dobrego w postaci medali, to więcej złego w relacjach międzyludzkich. Z jednej strony trzeba Anicie współczuć, ale nie można zapomnieć, że nie stała z boku, gdy działy się różne rzeczy. Brała w tym czynny udział**”.

W karierze lekkoatletki już raz doszło do burzliwego rozstania ze szkoleniowcem. 11 lat temu rozeszy się drogi zawodniczki z trenerem Czesławem Cybulskim. O co poszło? Dokładnie nie wiadomo. Niewątpliwie padło dużo nieprzyjemnych słów i z przyjaciół stali się wrogami na całe życie. Co ciekawe, 85-letni dziś Cybulski nie wyklucza, że gdyby dostał taką propozycję, raz jeszcze podjąłby się prowadzenia treningów ze swoją dawną zawodniczką. To chyba jednak nie będzie mu dane. Mówi się raczej o współpracy z Witoldem Kopronem, dziadkiem Malwiny, brązowej medalistki mistrzostw świata w Londynie, lub o szkoleniowcu z zagranicy.

Milik nie chce podwyżki

Zmieńmy dyscyplinę. W piłkę nożną gra się już tylko na Białorusi. Trwają tam normalne rozgrywki li-

gowe, a ponieważ telewizje nie mają czego pokazywać, prawa do ich transmitowania wykupili nadawcy z Rosji i z Ukrainy. Prezydent Aleksandr Łukaszenka ocenił, że grać można, bo koronawirus nie jest groźny. Właściwie dlaczego nie można grać, skoro w sąsiednim kraju władze przymierzają się do znacznie większej imprezy – do wyborów prezydenckich?

Fakt, że w europejskich ligach wstrzymano rozgrywki, nie oznacza, że zupełnie nic nie dzieje się w futbolu.

O przenosinach piłkarzy z klubu do klubu mówi się zwykle w czasie tzw. okienka transferowego. Jest to temat tym bardziej gorący, że w rozgrywkach trwa wówczas przerwa, a gazety muszą mieć o czym pisać, natomiast sprawozdawcy telewizyjni rozpaczliwie szukają tematów do komentarzy. Teraz – przynajmniej formalnie – trwa sezon, okienka są pozamykane, a jednak o transferach bardzo głośno.

Zaczniemy od krajowego podwórka. Sławomir Peszko odszedł z Lechii Gdańsk. Z tym nie było problemu, nie trzeba było czekać na okienko transferowe. Peszko odszedł z winy klubu, ma kartę zawodniczą w rękę i może pójść tam, gdzie będzie chciał i gdzie będzie chcieli. Lechia nie spłaciła mu zaległych poborów i trudno przypuszczać, żeby w obecnej sytuacji była w stanie to zrobić. W podobnej sytuacji znaleźli się Artur Sobiech i Rafał Wolski, ale oni zdążyli już znaleźć sobie nowe kluby. Wolski będzie grać w Wiśle Płock, a Sobiech w tureckim Faith Karagümrük.

O tym, że Arkadiusz Milik odejdzie z SSC Napoli, mówi się od dawna. Jego kontrakt z klubem wygasa za rok, zatem Aurelio De Laurentiis, właściciel klubu ze stolicy Kampanii, ma

2 wyjścia. Zaproponować Polakowi nowy wyższy kontrakt, albo sprzedać go, dopóki jeszcze może na nim coś zarobić.

„Corriere dello Sport” zdradza, że Milikowi, który zarabia 2,5 mln euro rocznie, zaproponowano podwyżkę o 1,5 mln euro, ale odmówił. Nie chodzi tylko o pieniądze. De Laurentiis już dogadał się w sprawie sprowadzenia czołowego włoskiego napastnika Andrei Petagni, rywal Milika do pozycji w ataku Belg Dries Mertens przedłużył kontrakt, w ofensywnej formacji zrobił się więc tłok. Milik nie miałby pewnego miejsca w pierwszym składzie. A on chce grać jak najwięcej. Dokąd pójdzie? Najpierw mówiło się o Juventusie, teraz wymienia się inne, także mocne kluby.

Lewy w otwartym okienku

Podczas każdego okienka transferowego, a teraz jak gdyby takie mamy, plotkowano o przejściu Roberta Lewandowskiego z Bayernu Monachium do Realu Madryt. O tym cisza. Jak wiadomo, najlepszy polski piłkarz podpisał nowy, wysoki kontrakt z mistrzem Niemiec i wszystko wskazuje, że w tym klubie kończyć będzie karierę. Za to w sportowej prasie huczy od pogłosek o innych zmianach kadrowych w Bayernie. Aż ośmiu czołowym zawodnikom kończą się kontrakty, są wśród nich kapitan i do niedawna uważany za najlepszego bramkarza świata Manuel Neuer, a także Thomas Müller, Jérôme Boateng, Thiago Alcántara, David Alaba. Jedni nie chcą podpisać nowych kontraktów i – jak Boateng – wprost zapowiadają, że opuszczą klub, z innymi kontraktów nie chce przedłużyć pracodawca.

Od jakiegoś czasu nie da się mówić o piłkarskich transferach bez wymieniania nazwiska Neymara. W końcu jest to najdroższy piłkarz świata, Paris Saint-Germain zapłacił za niego 222 mln euro. Teraz Neymar chce wrócić do Barcelony, skąd go wykupiono. Temat wciąż aktualny, ostatnio łączy się go z nazwiskiem Antoine’a Griezmann. W minionym roku Barcelona kupiła najlepszego napastnika Atlético Madryt za 120 mln euro. Z nowym klubem wiąże go 5-letni kontrakt. Być może dojdzie do transakcji związanej. Griezmann trafi do Paris Saint-Germain w rozliczeniu za Neymara. W ten sposób francuski mistrz świata po raz pierwszy w życiu grałby w Ligue 1. Cała jego dotychczasowa kariera związana jest z Hiszpanią.

Bardzo chce zmienić klub Paul Pogba z Manchesteru United; myśli o Realu Madryt lub Juventusie... Ale czy w ogóle jest sens o tym pisać? Wszystko wskazuje na to, że przerwa w rozgrywkach potrwa długo.

Okazuje się, że w sporcie zawsze coś się dzieje, nawet jeśli nic się nie dzieje.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
w.mittelstaedt@op.pl

REBUS 2



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – redaktor naczelny,
Przemysław Cwikliński, Waldemar Kuchanny
(zastępcy red. nac.),
Mateusz Cieślak, Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat,
Tadeusz Jasinski, Michał Marszał, Marta Miecińska,
Maciej Mikolajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wolk-Laniewska,
Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Współpraca: „Daniszewska i córka s.c.”

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 0-801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. (koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta (koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,
3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont.,
L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Prenumerata elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl
1 numer – 3 PLN, 5 wydań – 15 PLN, 13 wydań – 39 PLN, 26 wydań – 78 PLN, 52 wydania – 156 PLN
Numer zamknięto: str. 1–16 – 1.04.2020 r.



Można siedzieć w domu i nic nie robić lub pracować zdalnie, co na jedno wychodzi. Można za dzieciaka rozwiązywać zadania z geometrii w e-szkole. Można oglądać pornosy albo Dudę na TikToku. Ale można też być dobrym obywatelem i zrobić coś pożytecznego dla innych.

Proponujemy w domowych warunkach przymusowej kwarantanny zbudować respirator.

W tym celu należy zgromadzić:

- książkę Adama Słodowego „Zrób to sam”, tom 2;
- stary odkurzacz workowy o mocy od 1000 do 1500 W;
- starą lodówkę;
- 3 m szpagatu;
- 6 m drutu miedzianego jednożyłowego izolowanego;
- 6 m drutu aluminiowego trzyżyłowego izolowanego;
- 0,5 m gumki tekstylnej o szerokości 5 mm;
- dwie szprychy rowerowe;
- trzy szpulki po niciach;
- trzy aluminiowe puszki po coli o objętości 330 ml;
- pojemnik z termoplastycznego tworzywa sztucznego po płynie do mycia naczyń;
- arkusz sklejk o wymiarach 400 na 600 mm i grubości 12 mm;
- dwa stare telefony komórkowe;
- pompkę do roweru;
- klej uniwersalny.

Z lodówki wymontowujemy tzw. agregat, czyli kompresor, czyli sprężarkę. Po wyczyszczeniu go środkiem odkażającym, za pomocą przewodów przyłączamy silnik wyjęty z odkurzacza, z którego wcześniej wymontowujemy i odkładamy do późniejszego wykorzystania: uszczelkę komory worka, zawór upustowy, wkładkę tłumiącą, filtr i pokrywę filtra. Sprawdzamy, czy wąż ssący nie jest dziurawy; jeśli jest, otwory zakleamy plastrem. Rurę teleskopową tnijemy na cztery równe części. Z telefonu komórkowego wyjmujemy układ scalony, który będzie sterował częstotliwością włączania i wyłączania kompresora. Z pojemnika po płynie do mycia naczyń formujemy maseczkę, którą łączymy za pomocą kawałka węża ssącego z kompresorem. Mocujemy uchwyty na uszy. Całość montujemy na odpowiednio przyciętej sklejce, do której dokręcamy kółka od odkurzacza w celu zwiększenia mobilności respiratora. Zakładamy filtr. Wpinamy przewód sieciowy i włącznik. Z układu scalonego pobranego z drugiego telefonu robimy zapasowy system sterowania zasilany bateriami umieszczonymi w puszkach po coli. Mocujemy pompkę jako ręczny element inicjujący w razie braku prądu.

Uwaga: Respirator może służyć jako urządzenie do korespondencyjnego głosowania w wyborach prezydenckich.

PRZEMYSŁAW CÍWKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



by blagier Urban

Świętej Tatyany

Popieram Jarosława Kaczyńskiego i Jana Pietrzaka, którzy domagają się przeprowadzenia wyborów 10 maja. Nie popieram opozycji domagającej się ich przełożenia. Uzasadnienie. Z sondażu „Wyborczej” ogłoszonego 26 marca wynika, że kiedykolwiek w roku 2020 odbyłyby się wybory, i tak wygrałby je Duda. W maju poszłoby do urn 31 procent uprawnionych, wyłącznie zwolennicy PiS. Niech więc idą i pozarządzają się opozycji na zdrowie.

Świętego Kordiana

Normalnie gdy piję, Azor ode mnie odchodzi, razi go zapach wódki. Teraz dałem mu powąchać otwartą butelkę, a on okazał zainteresowanie zawartością. Pogoniłem go. Mało że koronawirus, to jeszcze potrzebny mi pudeł alkoholik.

Świętego Feliksa

W 1924 r. mój ojciec zerznął moją matkę. Nie wiem dlaczego. W tym samym roku wzięli w domu żydowski ślub. Dlaczego? Bo w Łodzi jako byłym zaborze rosyjskim nie było ślubów cywilnych. Potem mama robiła 3 skrobanki, aż 9 lat po ślubie w 1933 r. postanowiła mnie urodzić, jako jedyne dziecko. Nie wiadomo dlaczego i po co. Miała wtedy 33 lata, a ojciec 38. Mogę więc teraz wrócić do stanu nieistnienia, wiek i wirus wzmacniają tę możliwość, ale wolę odwiec śmierć. Wiem dlaczego – żeby bez pośpiechu przeczytać trzytomowy reportaż historyczny „Dom władzy”. Napisał go Juri Slezkine po angielsku. Liczy tysiąc kilkaset stron maczkiem.

Świętej Edyty

Pretekstem są dzieje wielkiego domu nad rzeką Moskwą zbudowanego dla radzieckich dygnitarzy. Zaczyna się od dziejów rewolucji, sporów między frakcjami życia w początkach socjalizmu, seksu w sferach partyjnych. Główna teza: komunizm był religią identyczną jak inne monoteizmy, a szczególnie chrześcijaństwo. Wdzięk całosci polega na tym, że maluje życie radzieckie ze wszystkimi szczegółami. Np. gdy lokato-

rzy zajmują mieszkania w tytułowym domu, poznajemy ich dzieje, a też rozkład pokoi i urządzenie wnętrz. Przede mną dramatyczne wyludnianie domu władzy.

Świętego Alfonsa

„Gazeta Polska Codziennie” apeluje: czytajcie gazety, ale przed czytaniem myjcie ręce. W przypadku tej gazety jest to uzasadnione, ale po lekturze. W dzienniku tym w ogóle mnóstwo apeli. Np. Joanna Li-chocka apeluje do Kidawy-Błońskiej, żeby szyła maseczki na polskie mordy zamiast pobudzać ludzką złość, niepokój i podważać zaufanie do władz.



mi się nieprawdopodobne. Dodał, że zawieszono są prace nad tyłoma filmami różnego gatunku, że gdy wirus straci koronę, nastąpi ogromny popyt na moce produkcyjne, będzie więc trudno nam się dopchać. Jednak film jest tak zaawansowany, że przegonimy inne produkcje. Jest więc źle i dobrze. Myślałem o tym, że jeżeli nie przeżyje epidemii, wróśnie zainteresowanie dziełem, ale zabraknie głównego aktora, jednak może będzie można mnie pominąć, gdyż dużo już nakręciłem. Sytuacja tonie w sprzecznościach.

Świętej Adelajdy

Żona twierdzi, że nasza najmłodsza kotka Cecylia mniema, iż jest psem. Nie ona jedna w naszej rodzinie przeżywa kryzys tożsamości.

Świętej Sabiny

„Wyborcza” podaje, że w Wielkopolsce spowiedź wielkanocna odbywa się następującym trybem. Ksiądz siedzi w aucie za kółkiem. Grzesznik podjeżdża z drugiej strony. Przez uchyloną szybę leżą grzechy, a z powrotem ich odpuszczenie. W tym czasie koronawirus drzemie. Bezpieczniej byłoby dla obu stron odgrzeszać się alfabetem Morse’a, naciskając klakson. Trzy trąbnięcia kapłana oznaczałyby odpuszczenie.

Świętego Ireneusza

W tym roku Chrystus zmartwychwstać będzie online. Zachwieje to wiarą katolików, ponieważ elektronicznie możliwe są wszelkie cuda. Jakis ksiądz rad by kupić autobus, ponieważ w kościele wolno gromadzić najwyżej 5 osób, a w pojeździe na ogół 30, przestrzegając zasady, że co drugie miejsce jest wolne.

Świętej Aurelii

Czy episkopat zbiera się czy też głosuje elektronicznie? Jeżeli obraduje viritem, czyli twarzą w twarz, to zważywszy na wiek biskupów możliwa jest gwałtowna, pożądana zmiana pokoleniowa. Ekscelencje, przekazujcie sobie znak pokoju. □

sekr@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 92

